Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

ŁOWIEC POLSKI



Pardwy. H. Weyssenhoff pinx.

ORGAN

POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

Nr. 35 (811) 10 GRUDNIA 1935 R.



Z polowania reprezentacyjnego w b. Komorze Cieszyńskiej. Pan Prezydent, idący wraz z grupą zaproszonych gości na stanowiska. Fot. W. Pikiel.

BROŃ MAŁOKALIBROWA W NIEPOWOŁANYCH RĘKACH.

Duże rozpowszechnienie po całym kraju sportowej broni małokalibrowej, co choćby z tego względu ma miejsce, że w ostatnich latach nastąpił ogromny wzrost zainteresowania strzelectwem małokalibrowem, propagowanem przez Związek Strzelecki, organizacje P. W. i sportowe, odkrywa drugą, fatalną stronę medalu — zainteresowanie się tą bronią przez nielegalnych myśliwych, zmniejszających przez używanie jej, zamiast broni śrutowej, niebezpieczeństwo posłyszenia na dalszą metę strzałów, dawanych do zwierzyny, w odległych nieraz od bezpiecznych kryjówek ostępach leśnych.

Znany już jest szereg wypadków zaopatrywania się przez notorycznych kłusowników w małokalibrowe sztucerki, gwarantujące im stanowczo większą bezkarność. Niestety, należy przypuszczać, że, jeśli dotychczas udało się w niektórych razach przypadkowo zupełnie odkryć nielegalnych posiadaczy takiej broni, używających ją w celach kłusowniczych *), to z pewnością stanowi to niewątpliwy znak, że zaczyna się ona wśród procederzystów silniej rozpowszechniać. Możność cichego upolowania sarny, bądź też jelenia, godzi ze strony osobników, posługujących się bronią małokalibrową, w całość i pomyślność naszych hodowli, przyczyniając działalności nawet najlepiej zorganizowanej straży łowieckiej jeszcze większe trudności do zwalczenia.

Ale gdy to zło wymaga bezwarunkowo śpiesznego zastosowania środków zaradczych i wytężenia jak największej czujności ze strony personelu, mającego za zadanie ochraniać nasze łowiska, staje się rzeczą niezmiernie ryzykowną zaopatrywanie przez poszczególnych właścicieli prawa polowania własnych strażników łowieckich w długą broń małokalibrową, co, niestety, zaczęło być stosowane w praktyce.

Swego czasu rozpoczął p. gen. Walery Maryański na łamach „Łowca Polskiego" dyskusję, dotyczącą tego, w jaką broń zaopatrywać naszą straż łowiecką ze względu na własne jej bezpieczeństwo przy spotkaniach z napastnikami z pośród kłusowników, co w dzisiejszych czasach coraz częściej miewa miejsce. Sz. Autor wypowiadał się za bronią krótką, dowodząc, że w spotkaniach z przestępcami łowieckimi na terenie, w razie napadu z ich strony, pistolety automatyczne i rewolwery są bronią do obrony najporęczniejszą i najpewniejszą pod względem unieszkodliwienia napastnika.

Powyższe spotkało się z szeregiem odpowiedzi, kierowanych przez czytelników do Redakcji „Łowca Polskiego", a stojących na wręcz przeciwnem stanowisku, które podziela również Redakcja.

Przy sposobności w krótkości zaznaczę, że rzadko bardzo dochodzi do walki zbliska i wręcz, kłusownicy zaś dokonują napaści prawie wyłącznie z dalszej odległości, nie pozwalając się zbliżyć do siebie służbie bezpieczeństwa lub ochrony danego rewiru. Trzeba się zatem liczyć z tem, że i napadnięty powinien rozporządzać podobną bronią obronną, z którejby na stosunkowo dalszą odległość mógł w odpowiedniej chwili unieszkodliwić napastującego; a taką bronią musi być wyłącznie w danym razie broń myśliwska długa, pozwalająca na dokładne mniej więcej

*) Vide np. korespondencję z pow. Radomsko, zamieszczoną w Nr. 34 „Łowca Polskiego" na str. 677. *(Przyp. aut.).*

wycelowanie na odległość kilkudziesięciu kroków. Idąc śladem tego rozumowania, niektórzy właściciele terenów polowania zaopatrują swą straż łowiecką w małokalibrowe karabinki sportowe, które możeby i odpowiadały bardziej od rewolwerów dosięgnięciu napastnika na dalszą odległość, lecz jedynie przez lepszych strzelców. I tego jednak warunku nie można zbyt silnie brać pod uwagę, jeśli się przyjmie, że w konkretnych wypadkach napaści, stosowania pośpiechu w oddaniu pierwszego strzału i wreszcie występowania silnego zdenerwowania u napadniętego strzały kulowe, nawet z broni długiej, będą zawsze bardziej zawodne i przez to mniej celne, niż strzały z broni myśliwskiej śrutowej.



Róża ks. Lubomirska ze swoim kapitalnym szesnastakiem, zabitym na rykowisku dn. 28 września 1935 r. w dobrach metropolitalnych Perehińsko, w rew. Czorna-Rika.

Drugim motywem, przemawiającym za zaopatrywaniem straży w myśliwską broń śrutową, jest także konieczność rozwijania skutecznej działalności w tępieniu czworonożnych i skrzydlatych szkodników łowiska — psów, kotów, jastrzębi, wron, srok. Nie trzeba wszak dowodzić, że z rewolwerem, ani nawet z małokalibrowym karabinkiem, ochrona łowiska pod tym względem nie może być dobrze wykonywaną i że wiele trzeba zużyć pocisków dla nabycia jakiej takiej wprawy w strzelaniu do ruchomego celu, co ze względu choćby na koszty z tem związane nie może być propagowane w praktyce.

Ale przeciwko dawaniu do dyspozycji strażnikom łowieckim broni małokalibrowej przemawia coś nierównie jeszcze ważniejszego — danie im sposobności do cichych strzałów, przez nikogo niekontrolowanych, co przy taniości pocisków kulowych np. kal. 22 staje się wielce ryzykowne, jeśli osobnik, mający sprawować ochronę łowiska, wykorzysta swą broń w podobnych celach, jak to już dziś czynią zawodowi kłusownicy.

W danym wypadku spodziewana całkowita bezkarność będzie tu podszeptem ku złemu, jeśli zaś kłusownik, używający broni małokalibrowej, znacznie zwiększa szanse swego powodzenia pod względem bezkarności, to tembardziej atut ten potęgować się będzie w rękach strażnika łowieckiego, niejednokrotnie rekrutowanego z „dawnych kłusowników". Strzelanie bowiem przez takiego osobnika do zwierzyny z broni śrutowej wywołuje bezwarunkowo daleko większe ryzyko, wskutek chociażby donośności strzału i łatwiejszego sprawdzenia przez kontrolującego działalność straży kierownika — leśniczego, łowczego i t. p.

Właściciele łowisk, lub prawa polowania w łowiskach dzierżawionych, powinni oczywiście zwracać największą uwagę na charakter i psychikę angażowanego strażnika, powinni nadto zawsze znaleźć odpowiednie sposoby rozciągnięcia nad nim możliwie najskrupulatniejszej kontroli osobistej i za pośrednictwem osób trzecich, lecz przedewszystkiem muszą jak najbardziej oddalać od wybranych osobników wszelkie ułatwienia, mogące ich ewentualnie przyrodzone złe instynkty pobudzić do szkodliwej działalności w łowisku.

Kto zdaje sobie całkowicie sprawę z powyższego niebezpieczeństwa, ten w żadnym wypadku nie wybierze cichostrzelnej broni małokalibrowej, jako broni ochronnej łowiska w rękach swych strażników, gdyż po pierwsze minie się z celem skutecznego oczyszczania terenu ze zwierząt i ptaków-szkodników, których znaczny procent ujdzie spudłowany; nie zabezpieczy strażników najlepiej w razie walki obronnej z kłusownikami — natomiast może ich łatwiej wprowadzić na pokuszenie potajemnego korzystania z chronionych przez siebie przed innymi objektów zwierzyny.

Podobne wypadki już miały tu i owdzie miejsce i zostały stwierdzone.

Przed rozpowszechnieniem tego niebezpieczeństwa ostrzegam właścicieli łowisk w ich własnym interesie dążenia do pomyślnego rozwoju zwierzostanów, zwracając ich uwagę, że broń małokalibrowa odegrać może najniewłaściwszą rolę w rękach niepowołanych.

WŁADYSŁAW ZABIEŁŁO.

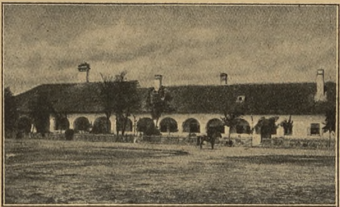
W. L. von FALKENAU.

P O N O W A.

Cicho gwiaździste płatki się ścielą,
ziemia okrywa się szatą puchową.
Zima nas wita skrzącą się bielą,
wita ponową!
Świeża ponowa — to białe karty.
Życie swe dzieje zapisze skrzętnie —
i już po chwili jest to otwarty
kniei pamiętnik.
Tu rysia tropy — odciski róży...
Tam lis podyndał... Tu szarak kicał;
trop jego ucztę lisowi wróżył,
kunę zachwycał!
Przez gąszcz olchowy szło dzików stado
i wilk sznurował, goniąc za sarną.
Zwiedziła dzisiaj łosi gromada
łąkę moczarną.
Weksle przeróżne na śnieżnej bieli —
to prawda życia, prawda surowa...
I z jej tajemnic odkrywa wiele
biała ponowa!

GĘSI NA HORTOBAGY.

Step węgierski, słynna „puszta" Hortobagy, jest jedynym w swoim rodzaju terenem łowieckim — przynajmniej w Europie. Nigdzie jesienne przeloty dzikich gęsi — a także przeloty wiosenne — nie są tak skoncentrowane i liczne, jak tutaj. Swoisty charakter „puszty", starannie zachowany egzotyzm tego jedynego stepu Europy środkowej — stwarzają piękne tło dla wrażeń czysto myśliwskich. Przy całym przytem niewątpliwym egzotyzmie tego polowania, jest w niem coś swojskiego dla myśliwego z Polski, coś pokrewnego do wrażeń z polowań kaczych na rozlewiskach Polesia. Hortobagy umie chwycić za serce myśliwego z Polski. Kto raz spróbował tego polowania, będzie co jesień czuł zew dalekich stepów węgierskich podobnie, jak każdej wiosny budzą nas rozpoczynające się gody wiosenne głuszców, cietrzewi i słonek.



„Csarda" na Hortobagy.

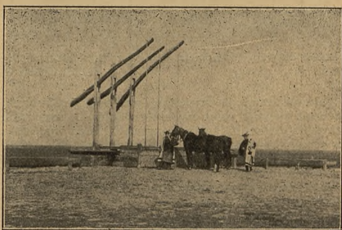
W swoim locie jesiennym z północy do ciepłych krajów klucze dzikich gęsi zatrzymują się po drodze dla odpoczynku na Hortobagy, popasając tu zwykle po parę tygodni. Przelot rozpoczyna się koło połowy października i trwa do końca listopada, a nawet do połowy grudnia. Step Hortobagy obfituje w gatunki traw o słonawym smaku, nieznane gdzieindziej, a stanowiące ulubiony przysmak gęsi. Jest tu także obfitość wody. Środkiem stepu przepływa mianowicie spora rzeka Hortobagy, deszcze jesienne tworzą po całym stepie niezliczone małe i płytkie stawy, wreszcie na skraju stepu swego rodzaju rezerwat wodny stanowią liczne i doskonale zagospodarowane stawy rybne. Noc gęsi spędzają na wodzie, we dnie zaś rozlatują się po całym stepie, gdzie żerują. Właśnie te przeloty: przed wschodem słońca z wody na step, zaś przed nocą ze stepu na wodę — dostarczają najlepszej okazji do strzału. Stosowane są zresztą także inne sposoby polowania — o czem będzie niżej.

Puszta Hortobagy stanowi obecnie zwartą przestrzeń około 40 tys. hektarów. Jest to absolutna równina. Grunt jest tutaj mało urodzajny i dlatego nie jest zupełnie uprawiany. Poza nielicznemi drzewami akacjowemi oraz mizerną trawą, niema tutaj żadnej prawie roślinności. Przeważna część puszty stanowi własność gminy miasta Debreczen, które hoduje tutaj ogromne stada wołów i owiec, oraz tabuny koni. Wielkie siwe woły o olbrzymich rogach, kudłate i rogate owce i napół zdziczałe konie, a pozatem z rodu ludzkiego „cikosze", to znaczy pastusi bydła, swoiści cowboy'e — oto jedyni mieszkańcy puszty. Charakterystycznem urozmaiceniem krajobrazu pustynnego są rozrzucone po stepie studnie, a przy nich nasze swojskie żórawie, oraz nieliczne gliniane lepianki — mieszkania „cikoszów". W samym środku puszty leży oaza: w ubożuchnym lasku akacjowym stoi stara karczma murowana, t. zw. „csarda", będąca bazą operacyjną myśliwych, polujących na Hortobagy. Do karczmy doprowadza szosa. Sama karczma, zbudowana przed kilkuset laty, była kiedyś siedzibą bandytów stepowych. Do dziś dnia zachowała swój pierwotny, egzotyczny charakter, który podtrzymuje dekoracja wewnętrzna budynku, oraz kwartet cygański — grający i śpiewający gościom z całego świata stare pieśni zbójnickie z Hortobagy. Tradycje dawnych czasów są tu zresztą starannie pielęgnowane także w życiu codziennem. Charakterystyczne stroje miejscowej ludności, staroświecki rynsztunek konnych „cikoszów", długie ganki i podcienia, biegnące wokół „csardy", obwieszone malowanemi garnkami oraz pękami kukurydzy — wszystko to harmonizuje doskonale z nastrojem stepu.

•

Przyjechaliśmy z Budapesztu we czterech. Trzech nas było z Polski: nasz konsul w Budapeszcie p. Chełmicki, bawiący okazyjnie na Węgrzech z wycieczką polskich dziennikarzy p. Zalewski, oraz podpisany. Towarzystwo łowieckie „Hubertus" w Budapeszcie, organizujące dla nas polowanie na Hortobagy, przydzieliło nam, jako przewodnika, tłomacza i towarzysza łowów, znanego na Węgrzech myśliwego i strzelca, pana Farkacza.

Św. Hubert nie był na nas łaskaw w tym roku, zbyt bowiem mieliśmy przez cały czas piękną pogodę — a to właśnie jest najgorsze, jeśli chodzi o polowanie na Hortobagy. Poto, aby gęsi było dużo i aby leciały nisko, musi tu być mokro i chmurno. Tymczasem wskutek tegorocznej suszy rzeka Hortobagy zamieniła się na mały strumyczek, zaś sadzawki po stepie wyschły zupełnie. Jedyną wodę stanowiły stawy rybne, w części tylko spuszczone o tej porze roku. Susza spowodowała pozatem, że trawy stepowe, tak specjalnie cenione przez gęsi, zwiędły i uschły. Nadobitek przez cały czas naszego pobytu na stepie niebo było bez chmurki. Przy czystem zaś niebie gęsi lecą bardzo wysoko — zasadniczo wogóle nie na strzał.



„Cikosze" przy studni.

Miejscowi myśliwi powitali nas smutnemi minami, oświadczając, że gęsi w tym roku niema wcale na stepie. To „niema wcale" okazało się zresztą bardzo względne. Setki tysięcy sztuk przeleciały nazajutrz w sferze naszego widzenia. Jak na nasze skromne apetyty, wystarczyły nam te setki tysięcy widziane, oraz kilkadziesiąt sztuk na rozkładzie dwudniowego polowania. Niewątpliwie jednak trafiliśmy w roku bieżącym na warunki wyjątkowo niekorzystne. Rekord jednej strzelby jednego ranka wynosi na Hortobagy 105 sztuk. Takiż rekord na naszem polowaniu przypadł w udziale mnie i stanowił 8 sztuk. Nie żałowaliśmy jednak owego „niepowodzenia", ani nie martwiliśmy się z powodu pięknej pogody; ta piękna pogoda właśnie pozwoliła nam ujrzeć Hortobagy w całej jego krasie i uroku, a między innemi obserwować spotykane tu tylko przy pełnem słońcu zjawisko fata-morgany.

W cztery godziny przebyliśmy samochodem drogę z Budapesztu do Hortobagy. Na miejscu stanęliśmy wieczorem. Czekano na nas tutaj. Krótka siesta wieczorna, wino węgierskie przy akompanjamencie cygańskiego kwartetu i wczesny spoczynek. O 3-ej w nocy budzą nas: „Gospoda, wstawajtie, pora ochotitsia". To strzelec Kowacs Jurko, jedyny ze służby, z którym możemy rozmówić się zrozumiałym dla nas językiem. Nauczył się go w Kostromie, jako jeniec wojenny.

W czarną noc gwiaździstą rozwożą nas wózki po stepie. W przedziwny jakiś sposób przewodnicy nasi znajdują na jednostajnej równinie drogę do celu. Celem tym są doły, w których każdy z nas ma się ukryć, oczekując porannego przelotu gęsi. Mały czarny kwadrat dołu o średnicy zaledwie około 70 cm jest prawie że niewidoczny po nocy. Wygląda to na studnię i jest tak głębokie, że człowiek w pozycji stojącej ukrywa się wewnątrz prawie całkowicie. W połowie wysokości dołu zostawiono naturalną ławeczkę z darniny.



Dublet do gęsi. (Jancewicze, koło Wysokiego Litewskiego). Fot. E. Falkowski.

Strzelec rzuca na ławeczkę i pod nogi garść słomy, poczem pomaga mi w zejściu do dołu. Za mną idzie strzelba, zapas ładunków, burka. Strzelec wydostaje z wozu kilka sztuk gęsi, ubitych w poprzednich dniach przez innych myśliwych i gęsi te usadawia wokoło miejsca mojej zasadzki, podpierając im głowy kołkami. Te martwe gęsi mają służyć za przynętę dla nadlatujących kluczy, zachęcając je do opuszczenia się w pobliżu.

Wreszcie furmanka odjeżdża — zostaję sam. Jest jeszcze daleko do wschodu słońca i do początku polowania. Pierwsze przymrozki jesienne ścięły step. Ciszę pogodnego przedświtu przerywają jedynie wołania krążącej w pobliżu czajki.

Gwiazdy bledną na wschodzie coraz bardziej. Z tej też strony zaczną niebawem nadlatywać gęsi, gdyż we wschodniej części stepu nocują obecnie na stawach rybnych. Jest jeszcze ciemno, gdy w stronie stawów rodzi się jakiś daleki odgłos, który w ciągu paru sekund następnych potężnieje coraz bardziej, by zamienić się wreszcie na potężny krzyk niezliczonych stad gęsi, budzących się i zrywających do lotu. Wzrok niecierpliwie wypatruje na jaśniejącem niebie sylwetek nadlatujących ptaków. Chwilę tylko trwa to oczekiwanie. Oto na horyzoncie jakieś ledwie widoczne jeszcze, wydłużone linje i trójkąty przecinać zaczynają jednobarwną do tej pory powierzchnię nieba. Pierwsze klucze dzikich gęsi nadciągają. O sto kroków w lewo od mojej kryjówki przeleciało pierwsze stado. W półmroku wczesnego poranka idzie nisko. O kilkaset metrów na prawo pada strzał ze stanowiska jednego z moich sąsiadów. Za chwilę niewątpliwie i ja znajdę się w ogniu, prosto bowiem na mój dół nadciąga wielki klucz gęsi. Chowam się głębiej pod ziemię i tylko przy pomocy słuchu staram się orjentować, kiedy gęsi znajdą się o tyle blisko, abym nie potrzebował kryć się dłużej. Mam je wreszcie tuż nad sobą, na wysokości 40 mtr. Prowadzę broń wzdłuż prawego sznura i strzelam szybko po sobie z obu luf. Pierwsza moja gęś węgierska odbija się od stada, trzepoce się chwilę w powietrzu, aż wreszcie nieżywa spada ciężko o kilkanaście kroków od mojej kryjówki. Reszta gęsi ze stada po strzale milknie na krótką chwilę, ale potem zaraz daje głos znowu i, nie zmieniając szyku, ciągnie dalej. Szybko wyskakuję z dołu, podnoszę ubitą gęś i sadzam ją obok przynęty, umieszczonej przez strzelca. I moja gęś przy pomocy kołka pod brodą zadziera łeb i dziób ku górze i wabi do mnie swoje towarzyszki. Konieczne było zrobienie porządku z ubitą sztuką, gęsi dzikie są bowiem niesłychanie spostrzegawcze i czujne. Dojrzały zdaleka biały brzuszek zabitego ptaka i przezornie ominęły niebezpieczne miejsce.

Jestem z powrotem w mojej kryjówce. Gęsi nadlatują ze wszystkich stron coraz liczniej. W miarę jednak tego, jak rozwidnia się, ciągną coraz wyżej. Są jednak i takie, które decydują się lądować w pobliżu i obniżają lot. Strzelam coraz częściej, przeważnie jednak napróżno, gdyż wciąż jeszcze trudno mi określić właściwą odległość przy strzale. Oko, nawykłe do kaczek, większą znacznie od kaczki gęś widzi stale bliżej. Stąd beznadziejne strzały na 100 metrów i więcej. Niezawsze jednak strzał zawodzi. W parę minut zaledwie po rozpoczęciu polowania powiększyło się o 4 sztuki moje stado gęsi, służących za przynętę.

Jest już widno zupełnie. Z poza horyzontu powoli zaczyna wysuwać się wielka tarcza jesiennego słońca. Gęsi lecą w dalszym ciągu, coraz częściej przytem widać klucze, zapadające w pobliżu na żer. Wielkie masy ze stawów rybnych już przeleciały, natomiast zaczyna się krążenie gęsi po stepie w poszukiwaniu lepszych żerowisk. Gęsi nadlatują do mnie z różnych stron; niektóre przytem stada rozbiły się już: lecą małe grupki, a nawet pojedyńcze sztuki. Nadlatują czasem zupełnie nieoczekiwanie i nieraz bardzo nisko. Raz i drugi stadko zapada tuż przy mojej kryjówce. Oto znowu na dużej wysokości nadciąga klucz gęsi. Równemi ruchami skrzydeł pracują sznury. Wtem w pewnym momencie wszystkie sztuki, jak na komendę, zaprzestają pracy skrzydeł i zaczynają planować. Zmieniają lot wyraźnie w kierunku moich nieżywych, wartujących gęsi. Ukrywam się możliwie głęboko na dnie dołu i zamieniam się w słuch. W pewnym momencie słyszę już nietylko gęganie, ale szum skrzydeł. Stadko gęsi, liczące około 8 sztuk przelatuje mi nad samą głową, chcąc usiąść tuż obok mego dołu. Z bliskiej odległości zorjentowały się już w sztucznej pozycji martwych gęsi, a może nawet dojrzały moją skuloną postać na dnie kryjówki. Zaczynają znowu iść w górę. Jest jednak zapóźno. Zbliżyły się tak znacznie, że mam czas na spokojny strzał. Dublet w tych warunkach nie był już żadną sztuką.

Coraz mniej jest okazji do strzału, chociaż bez przerwy górą przeciągają nowe i nowe klucze i szeregi. Krążyć tak będą przez cały dzień, aż wieczorem, już dobrze pociemku, zerwą się naraz na całym stepie z wielkim krzykiem i znowu niezliczonemi masami ruszą na wschód, na wody.

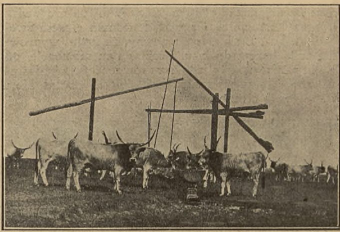
Wózek ze strzelcem odjeżdża, polowanie ranne skończone. Jest godzina 8-ma. Siedem sztuk gęsi świeżo ubitych ładuję na wóz; ósmą sztukę — postrzałka, niebawem dojeżdżamy i dostrzeliwujemy. Strzelec zbiera skrupulatnie i liczy łuski wystrzelonych nabojów. Jest ich około 40-tu. Stosunek to niezły dla początkującego „myśliwego-gęsiarza".

Parę kilometrów stepu do domu przebywamy szyb-

ko. Na stepie wszędzie pełno żerujących gęsi. Czyż niema sposobu, aby zapolować na nie wówczas, gdy żerują?

Ten sam niezaspokojony apetyt polowania wykazali moi towarzysze. Mieli oni tego ranka wyniki podobne do moich i taksamo, jak ja, wyrywają się znowu na step. Powstaje projekt, aby zaraz po śniadaniu spróbować podjeżdżać gęsi samochodem. Pan Farkacz, nasz opiekun i przewodnik, odradza i nie wierzy w powodzenie. Jedziemy jednak. Step jest wszędzie łatwy do przebycia dla samochodu, miejscami zaś jest tak równy, że możemy rozwijać szybkość do 70 klm. Już w parę minut po wyjeździe z „csardy" dojeżdżamy do pierwszego stada gęsi. Postanawiamy sobie, że w odległości 40-tu kroków od żerującego stada zatrzymamy samochód, wyskoczymy i będziemy strzelali do zrywających się sztuk. Gdzie tam! Gęsi porywają się z krzykiem, zanim wogóle zdołaliśmy się zbliżyć na odległość strzału. Nie udaje się również następna próba podjazdu, gdyśmy chcieli zastosować system okrążenia stada i stopniowego zbliżania się. Dochodzimy do wniosku, że jedyne, co nam pozostaje, to jechać z możliwie dużą szybkością prosto na stado i strzelać z samochodu w biegu. Przez pospuszczane szyby samochodu wystają nazewnątrz lufy czterech strzelb. Szofera nie mam ze sobą, muszę więc być naraz i kierowcą i strzelcem.

Akcelerator idzie w ruch, samochód pędzi całym gazem w kierunku pasącego się stada. Rozpoczyna się strzelanie, które zresztą ze strzelectwem niewiele ma wspólnego. Emocja zato szalona. Taktyka nasza okazała się dobra. Nim gęsi się spostrzegą i zaczną zrywać się do lotu, samochód jest tuż - tuż. Następuje szybki zwrot kierownicy w lewo, albo w prawo, zależnie od tego, który bok samochodu strzela. Strzał z szybko pędzącego i podskakującego na nierównościach samochodu do gęsi, będących w locie, może być oczywiście tylko przypadkowy. Raz po raz jednak udaje się nam ściągnąć gęś na ziemię. Parę godzin krążymy w ten sposób po stepie, przebywając przeszło 100 klm. i ubijając 11 sztuk gęsi. Mój poczciwy, stary Chrysler dokonał cudów waleczności i dziw, że nie ucierpiał poważniej, gdyż w emocjonującym pościgu po stepie zapominaliśmy nieraz o rowach, nierównościach dna wyschłych sadzawek i o innych przeszkodach.



Siwe bydło stepowe na Węgrzech.

Jeszcze następny poranek spędziliśmy na Hortobagy, oczekując w czarnych dołach na przebudzenie się i przylot gęsi. Z 15-tu sztuk tej pięknej zwierzyny, ubitych przezemnie, wywiozłem do domu dwa okazy do wypchania. Wywiozłem jednak przedewszystkiem niezapomniane wrażenie oraz postanowienie powrotu do Hortobagy następnej jesieni. Pozostała mi też nazawsze w uszach muzyka krzyku niezliczonych mas dzikich gęsi, którą rozbrzmiewa na jesieni step Hortobagy każdego ranka i każdego wieczora.

WŁADYSŁAW GIEYSZTOR.

JAK ZGINĄŁ OSTATNI Z SIEKIERCZYNA.

W drugiej połowie stycznia srogość zimy dochodziła do najwyższej grozy. Pola okrył śnieg, sypki jak piasek, lecz tak zbity szczelnie w jedną masę, że najcięższy koń, krocząc po niej, zostawiał prawie niewidoczne ślady. Wiatry stepowe wydzierały z tej twardej masy zlodowaciałe bryłki śniegu, a goniąc je przed sobą i kręcąc tą ruchomą białą wstęgą, niby olbrzymim wężem po stężałych falach, niosły je w głębokie jary. Ostry wiatr wnikał w każdą szczelinę, wślizgał się w najgęstszym puchem pokryte futra zwierząt, hulał po nagiej skórze najlepiej odzianego człowieka, tamując oddech w piersiach i mrożąc krew w żyłach.

W takie to ciężkie do przetrwania dla wszelkiego zwierza czasy stary lis, gdy na ciemnem tle nieba pokazały się pierwsze gwiazdy, wychylił ostrożnie nos z otworu swej jamy i węszył długo na wszystkie strony. Nie czując w pobliżu nic podejrzanego, jednym susem wyskoczył z nory na bliskie wzniesienie i usiadł, rozglądając się dokoła. Dziś postanowił za każdą cenę wyszukać sobie obfitego pożywienia. Od trzech dni prawie nic nie miał w żołądku. Myszy w tym roku nie było, w całej okolicy kuropatwy były już wyłowione, a zająca w kotlinie z powodu trwałego śniegu podejść nie było można. Padłe bydło i konie starannie grzebano, nie zostawiając ich, jak dawniej w czasie wojny, na wierzchu.

Dumając nad tem, dokąd wyruszyć za zdobyczą, przypomniał sobie dawne dobre, przedwojenne czasy i młode lata. Urodził się po drugiej stronie tej rzeki, nad którą spędził życie pełne przygód i wrażeń. Jego miejscem rodzinnem była grota w stromej skale nad Dniestrem. Dokoła niej na spadzistem zboczu ciągnął się las, jeżeli lasem można nazwać krzewy, leszczyny, tarniny, głogi i derenie, które pokrywały gęstym, zwartym porostem strome stoki Dniestru. Do groty rodzinnej było kilka wąskich wejść, prowadzących przez takież szczeliny. Wejścia te na pochyłej ścianie zakrywała tarnina tak szczelnie, że nikt ich zauważyć nie mógł, a zresztą choćby je odkrył, to do siedziby lisiej nie mógł się dostać, chyba, żeby dynamitem rozsadził skały. Żyły tu od wieków lisy i dobrze im się działo. Stary lis ze swą małżonką miał tu też przed laty siedzibę i niejedno ich pokolenie wywiodło się w tej grocie. Lisy z tego gniazda słynne były na całą okolicę ze swego dorodnego wzrostu i siły, od maleńkości bowiem były obficie żywione białem mięsem kur, które z łatwością zdobywały w pobliskiej wsi.

Gdy las się zazielenił, wychodziły stare lisy krzakami pod samą wieś i tu czatowały na kury. Kury ze wsi, niekarmione o tej porze ziarnem, którego najczęściej brakowało na podwórku, rozchodziły się po krzakach, szukając czerwi i ślimaków. Tam jednak czyhały na nie lisy, przyczajone w gąszczach, koło ścieżek. Nie było dnia w tym okresie, by lisy nie porwały parę kur. Lecz i innej karmy była w tych stronach obfitość wielka. Ileż to razy, gdy lis biegał nocną porą nad wodą, trafił na trutego klenia, lub morenę ranioną ościeniem, ile tłustych szczurów padło pastwą lisich zębów, nie mówiąc już o obfitości żab, ślimaków i małży, których pełno jest nad brzegiem Dniestru. Dobrze więc wiodło się mieszkańcom lisiej nory. Lecz niebawem zaszły wypadki, które przerwały tę idyllę.

Pewnego dnia stary lis znajomemi ścieżkami szedł wolno na wiadome już sobie, dobre stanowisko, skąd mógł śledzić ruchy kur na obejściu gospodarskiem, przytykającem do lasu. Gdy przybył na miejsce, usiadł

za krzakiem i zapuścił wzrok na podwórze. Stado kur, którym przewodniczył wspaniały czerwony kogut, z czarnemi lśniącemi piórami na skrzydłach, uganiało po podwórzu. Należało cierpliwie czekać chwili, gdy kury, nie mogąc już znaleźć nic do pożywienia na podwórzu, przelecą niski płotek i wejdą do lasu. Na atakowanie ptaków na podwórzu nie miał dziś ochoty, choć czynił to nieraz bezkarnie. Dziś syty, wolał czekać w lesie. Siedział tak z godzinę, wodząc roziskrzonym wzrokiem za kogutem, który jakby na urągowisko wskoczył na płotek i zapiał donośnym głosem swoje „kukuryku". Lis był teraz pewny, że kogut wyprowadzi swój harem do lasu. Lecz w tym momencie, gdy kogut zapiał, doszły jego uszu równocześnie jakieś podejrzane głosy. Lis zaniepokoił się tem i wstał, kierując się w tę stronę.



Portret lisa.

W jednej chwili zorjentował się, co znaczy w cichym lesie donośna wrzawa. W swojem życiu widział już niejedno polowanie i nie miał dziś ochoty brać w niem czynnego udziału. Zwykle, gdy tylko posłyszał pierwsze głosy naganki, lub gdy go doszedł pierwszy huk strzału, darł co tylko sił starczyło największemi gąszczami w kierunku swej fortecy w skale. Gdy się tam dostał, był zupełnie bezpieczny i z przezorności nigdy przed upływem północy nie wychodził tego dnia z domu.

Dziś również pragnął uciec się do swej niezawodnej metody unikania lufy myśliwego. Aby to jednak uczynić, należało biedz co sił w kierunku naganiaczy. Puścił się tam, lecz gdy się zbliżył, ujrzał niebawem, że miał odwrót zamknięty. Chłopcy szli ławą tak gęsto, że nawet ręka w rękę. Weszli bowiem w klin, który raptem zwężał się pod wsią. Lis, widząc, że z tej strony cało się nie przedrze, bo chłopcy mieli tęgie kije w rękach, rzucił się w stronę przeciwną, do stanowisk myśliwych. Zanim jednak dobiegł do skraju lasu, rozległy się gęste strzały do pomykających zajęcy i wylatujących z gąszczu cietrzewi. Śrut dzwonił po gałęziach i świstał lisowi koło uszu. Chłopcy, zagrzani padającemi raźno strzałami, podnieśli tak piekielny hałas, że nietylko małego lisa, lecz największego krwiożerczego tygrysa mogli przestraszyć. Lis stracił zimną krew, rozwagę i strwożony tem, co się wokoło niego działo, buchnął na tyły gospodarskich osiedli. Tu bez namysłu skoczył przez niski płot na podwórze, między kury, które, spłoszone nagłem ukazaniem się wroga, narobiły krzyku. Z chaty wyskoczył gospodarz z widłami, a kundel podwórzowy zerwał cienki łańcuch, na którym stał przywiązany i puścił się za uciekinierem. Lis szmyrgnął przez podwórze i otwartą bramą dostał się na drogę, idącą nad urwistym brzegiem Dniestru.

Kiedy lis zwęszył, że z jednej i drugiej strony drogi stoją ludzie, skoczył wpoprzek i w jednej chwili zbiegł po urwistym brzegu na szutrowisko. Miał zamiar tędy dostać się na tyły naganki. Ponad brzegiem jednak szedł gajowy, uzbrojony w pojedynkę. Ten, gdy zoczył lisa tuż nad wodą, zaczął biedz co sił, by go zbliska ustrzelić. Lis, widząc, co się święci, wszedł do wody i jął płynąć na drugą stronę. Gajowy stanął i wymierzył. Padł strzał. Śruty świsnęły koło uszu lisa, ale go nie dosięgły. Przyszło wtedy lisowi na myśl, że jeżeli teraz uda nieżywego, to go dalsze strzały miną. Zatrzymawszy oddech w płucach, zwinął się w kłębek i, unoszony szybkim prądem, płynął bez ruchu, jak martwy. Na drugim brzegu stał koło czółna garbaty przewoźnik i obserwował z wielkiem zajęciem przebieg całego polowania, które na stromem zboczu widział dokładnie, jak na dłoni. Gdy po strzale gajowego lis wypłynął z prądem na środek rzeki, przewoźnik sądził, że jest zabity. Chcąc go wydobyć z wody, aby dostać od myśliwych napiwek, skoczył raźno do małego czółenka i puścił się z prądem na spotkanie. Lis przymrużonemi ślepiami widział go, lecz mniemał, że, udając nieżywego, może jeszcze wyjść cało z tej opresji. Przewoźnik, dogoniwszy płynącego nieruchomo lisa, schylił się w czółnie, porwał go za kitę i uniósł raptownie w powietrze. W tej jednak chwili lis skręcił się nagle i chwycił ostremi, jak szpilki, zębami rękę przewoźnika poniżej przegubu. Niebaczny łowca krzyknął z bólu, a chcąc drugą ręką, w której trzymał wiosło, chwycić za kark napastnika, zachwiał się w czółnie, stracił równowagę i razem z lisem runął głową w toń Dniestru. To uratowało chytrego kurołapę. Zanim przestraszony przewoźnik wypłynął, lis był już na drugim brzegu. Tu otrząsnął futro z wody i naoślep rzucił się do ucieczki.

Przed sobą miał park dworski, dotykający brzegów rzeki, skoczył tam i wkrótce zniknął w gęstych krzakach. Licho jednak nadało, że po ścieżkach parku przechodził ogrodnik z pieskami. Te, gdy ujrzały uciekającego lisa, puściły się w pogoń, ujadając zawzięcie. Przestraszony lis biegł naprzełaj i trafił na szereg robotników, przekopujących grunt w ogrodzie. Wracać już nie było można. Psy siedziały mu prawie na ogonie. Lis w pędzie skoczył pomiędzy szeregi kopiących. Jeden z nich, koło którego lis się przemykał, wzniósł ostry rydel w górę i chciał nim uderzyć zbiega w krzyże, trafił jednak tylko w połowie ogona. Pyszna ozdoba lisiej kity przecięta została ostrzem rydla, a koniec jej został na grzędzie. Psy dopadły końca ogona i jęły go tarmosić. To umożliwiło kusemu dobiedz do muru, okalającego ogród. Mur był dość niski, lis z łatwością przeskoczył i znalazł się niebawem w czystem polu. Zmykał jakiś czas co sił naprzód, lecz gdy się przekonał, że psy nie gonią, stanął i rozglądał się w terenie. W dali na horyzoncie widniał las, ale wielu kręcących się po polach ludzi nie zachęcało do dalekiej wędrówki, zwłaszcza, że czuł się już bardzo osłabiony przejściami i utratą kity. Nadomiar złego, obrzydłe wrony, zmiarkowawszy po jego krótkim ogonie i mokrem futrze, że jest z nim coś nie w porządku, jęły krążyć nad ku-

sym i krakać, jak opętane. Te wrzaski mogły zwrócić uwagę pracujących w polu ludzi i spowodować znów biedę.

Lis postanowił, że najlepiej będzie tymczasem skryć się gdziekolwiek, aby przynajmniej odpocząć. Pobiegł przeto w kierunku, w którym nie widział ludzi i wkrótce stanął nad jarem. W jarze płynął strumyk, po brzegach ciągnęła się łączka, a ściany porastały kępy tarniny. Miejsce było zaciszne i odludne. W krzakach ujrzał parę otworów, prowadzących do lisiej siedziby. Ucieszył się tem odkryciem i począł badać węchem pień, stojący w pobliżu gruszy, czy nie znajdzie na nim biletów wizytowych, pozostawionych przez właścicieli jamy. Mimo starannego obwąchiwania nie mógł odnaleźć znaków, wskazujących na to, że jamę zamieszkuje prawy jej właściciel. Mimo tego ostrożnie wetknął głowę do otworu nory, badając nosem, co się kryje we wnętrzu. Przekonawszy się ostatecznie, że jama jest pusta, wsunął się do niej. Nora lisia była solidnie zbudowana i musiała powstać w czasach, gdy dzisiejsze uprawne pola po obu stronach jaru pokrywał las. Do jamy prowadziły trzy wejścia, które pod ziemią połączył poprzeczny korytarz. Sypialnia znajdowała się wyżej poziomu korytarzy. Była to obszerna, sklepiona izba, w której mogła się mieścić wygodnie cała lisia rodzina. W jednym kącie zasłane łoże z suchych traw i mchu zapraszało do spoczynku. Powietrze w środku było czyste i suche. Z wielką ulgą legł na posłaniu zmęczony i obolały. Opatrzywszy zraniony ogon językiem i śliną, zasnął lis snem twardym i spał bez przerwy, aż do północy.

Gdy się obudził, nie mógł początkowo zmiarkować, gdzie przebywa i co się z nim dzieje. Jednak dotkliwy ból na końcu ogona, wnet uświadomił mu przygody, jakie przebył. Był głodny i spragniony. Ostrożnie wychylił się z otworu nory, węsząc bezustannie, czy nie grozi jakie niebezpieczeństwo. Nie spostrzegłszy jednak nic podejrzanego, wyskoczył szybko na łączkę, rozprostował zesztywniałe członki i namyślał się, gdzie skierować swe kroki, aby zaspokoić dotkliwy głód. Nie znając tej okolicy, nie wiedział, gdzie się ma udać na łowy. Ponieważ bardzo dokuczało mu pragnienie, pobiegł najprzód do strumyka na łące i tam dłuższy czas chłeptał łapczywie zimną wodę. Biegł wzdłuż strumyka i wkrótce znalazł się nad Dniestrem. Noc była bardzo ciemna, lecz cicha i ciepła. Gdy lis stanął nad stromym, urwistym brzegiem wody, ujrzał przed sobą płynącą łódź, a w niej rybaka, stojącego na dziobie czółna. W jednej ręce rybak trzymał zapaloną słomę, a w drugiej ość, gotową do bicia ryb. W tyle siedział garbaty przewoźnik z obwiązaną szmatami ręką i kierował łodzią. Kusy poznał w nim swego prześladowcę i wstrzymał się ze strachu. Czując się jednak bezpiecznym na wysokim brzegu, śledził z zajęciem ruchy rybaka, którego przy jasnem świetle widział doskonale, będąc sam pogrążony w ciemności. Rybak od czasu do czasu zapuszczał szybkim ruchem ość w wodę i wyjmował trzepocącą się na niej rybę, którą następnie strząsał do łodzi. Gdy łódź oddaliła się w górę rzeki, lis zeszedł nad wodę i powoli, w pewnem oddaleniu, postępował za nią.

Idąc tak spory kawałek drogi, ujrzał niebawem parokilogramową morenę, płynącą z prądem koło brzegu. Ryba nie miała już siły płynąć pod prąd, gdyż trafiona została w sam grzbiet ością. Ość jednak nie weszła głęboko w ciało i ryba zerwała się z niej, uchodząc z oczu rybaka. Lis, nie namyślając się długo, skoczył do wody i po chwili wyniósł na brzeg smakowitą zdobycz. Gdy ją do szczętu smacznie spożył, poczuł się syty i postanowił udać się do jamy. Po drodze myślał o tem, czyby nie było dobrze, gdyby dziś jeszcze wrócił na łono swej rodziny, do groty za rzeką, lecz, gdy się nad tem zastanowił, przeląkł się tej myśli. Wskoczyć do wody z brzegu parę kroków za strutą lub ranioną rybą, za płynącemi kaczkami, próbował niejednokrotnie, lecz przepływać bardzo szeroką i rwącą wodę obawiał się i nie chciał czynić tego bez wyraźnego powodu dobrowolnie, niezmuszony gwałtem. Przyszło mu na myśl, że i tak niedługo, Dniestr pokryje się lodem, a wtedy bez obawy pójdzie na drugą stronę i zajmie swoją siedzibę w grocie.

Żył więc od tej pory samotnie i nieźle mu się wiodło na nowej siedzibie. Lecz gdy tylko Dniestr stanął, udał się po lodzie do swej groty. W jasną noc księżycową z początkiem zimy znalazł się u wejścia do swego zamku. Przed wejściem zbadał ostrożnie węchem znaki, jakie dają między sobą wszystkie zwierzęta z rodziny „Canis". Znaków tych nie mógł się jednak dowąchać, zaniepokojony przeto, wsunął się do groty. To co tam znalazł, oburzyło go i doprowadziło do rozpaczy. Na swojem małżeńskiem łożu, zamiast małżonki, ujrzał pięć tłustych, siwych borsuków, zbitych w jeden kłąb i pogrążonych w głębokim śnie zimowym. Pozbyć się tych niemiłych natrętów nie było sposobu. Gdyby ich pobudził, zagryzłyby go z pewnością. Niemiła dla lisiego nosa woń, która biła od pogrążonych we śnie najeźdźców, zmusiła ostatecznie kusego do pośpiesznego opuszczenia swej siedziby. Nie mogąc znaleźć w lesie nikogo z rodziny,



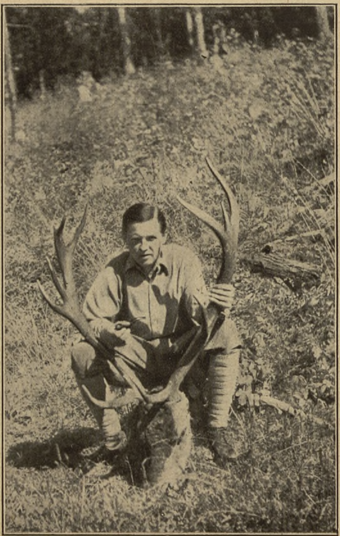
Psiarnia ordynacji łańcuckiej. Fot. kpt. Szczepański.

wrócił nad ranem na przeciwną stronę rzeki po lodzie i udał się na spoczynek dzienny do swej nory.

Kiedy nadeszła w miesiącu lutym pora kojarzenia małżeństw, lis puścił się w dłuższą podróż po okolicy, aby znaleźć dla siebie stosowną towarzyszkę. Zaloty jednak spełzły na niczem. Lisiczki nie chciały zawrzeć z nim bliższej znajomości z powodu tego, że brak mu było największej ozdoby, to jest końca wspaniałej kity. Kita lisia ma przy końcu małe gruczołki, wydzielające woń fiołkową, która jest dla samiczek bardzo pociągającą i łechcącą powonienie podnietą. Bez tego lis w oczach samiczek był nic nie wart.

Kusy, gdy się przekonał, że na nic są jego umizgi, wrócił zrezygnowany do swej nory i zaczął odtąd wieść życie samotne i pustelnicze. Wiodło mu się niezgorzej, bo był życiowo bardzo doświadczony i przebiegły. Miał jednak niebawem wypadek, który omal nie był powodem utraty życia. W połowie zimy, gdy trudno było o pożywienie, idąc raz na łowy, natrafił na ślad. Gdy zbadał go węchem, poczuł woń, łechcącą jego lisie podniebienie. Zanosiło raz niby myszami, to znów pachniało rybą i tłuszczem. Biegł tedy za tym śladem. Po jakimś czasie natrafił na kawałek kurzej kostki, dalej znalazł kęsek mięsa i zjadał to chciwie. Te maleńkie porcje pobudzały tylko apetyt, lecz zaspokoić go nie były w stanie. Miał jed-

nak nadzieję, że może gdzieś dalej znajdzie tych przysmaków więcej. Gdy jednak rozgryzał następnie znalezioną, tłuszczem okrytą, małą kurzą kosteczkę, poczuł na języku straszną gorycz. Wypluł to, co miał w zębach i spiesznie wetknął w śnieg głowę, czyszcząc nim język i szczęki. To jednak nie pomagało. Niepojęta gorycz nie ustąpiła z języka i podniebienia. Nagle lis poczuł przenikliwy ból w krzyżach, jakby mu rozpalonym drutem przejechano po szpiku. Nogi zaczęły mu się plątać i upadł w śnieg. Silne drgawki wstrząsnęły kilkakrotnie całem jego ciałem. W uszach uczuł szum, zawrót w głowie, a rozszerzone źrenice przesłoniła mgła. Leżąc, dyszał ciężko. Brak śliny w pysku uniemożliwiał poruszanie językiem, który, jak suchy wiór, sterczał mu teraz w gardle. Lis sądził, że już koniec z nim.



Dyr. Stanisław Lazarewicz z ubitym szesnastakiem dn. 1.X 1935 r. w dobrach metropolji Perehińsko, w rew. Czorna-Rika.

Po jakimś czasie przyszły jednak gwałtowne poty, ślina obficiej napłynęła do pyska i lis oprzytomniał. Postanowił teraz jak najprędzej dostać się do jamy i tam czekać na to, co z nim dalej będzie. Zaledwie jednak uszedł chwiejnie kilka kroków, znów nastąpił ponowny atak zadanej mu w gałce strychniny. Tym razem atak trwał krócej i był mniej gwałtowny. Gdyby kusy nie miał szczęścia, byłoby już po nim. Gałka bowiem, którą rozgryzł, była źle przyrządzona. Strychnina w niej zbita była w jedną masę. Zaledwie tylko mała cząstka dotknęła języka i podniebienia, a reszta została przy ścianach rozłupanych kostek, które na szczęście lis zdołał w czas wypluć. To go ocaliło od niechybnej, natychmiastowej śmierci. Gdy drugi atak minął, lis wstał i powlókł się dalej. Był tak osłabiony, że co chwila kładł się i musiał odpoczywać. Wkońcu dowlókł się do jamy i legł na barłogu. Ile dni tak przeleżał, nie pamiętał. Drgawki i kurcze powtarzały się kilkakrotnie, ale w coraz dłuższych odstępach czasu. Gdy ataki osłabły, wychodził w nocy z jamy do pobliskiego źródełka i pił chciwie wodę.

Mimo powracającego apetytu i uczucia głodu, nie miał go czem zaspokoić, bo do wyjścia na łowy sił mu brakło. Wreszcie pewnej nocy, powlókł się pomału do pobliskiej sterty z koniczyną, która stała w polu. Tam spodziewał się znaleźć parę myszy, lub chwycić bodaj jedną pośmieciuchę, albo trznadla. Znalazł jednak to, czego się wcale nie spodziewał i co uratowało mu życie, gdyż był tak chorobą i głodem zmorzony, że nawet myszy złapać nie byłby w stanie. W tym czasie zima była bardzo ciężka i śniegi grubą warstwą okrywały ziemię, sarny w lasach nie mogły dogrzebać racicami do gołej ziemi i położyć się na niej. Spoczywając wciąż na śniegu przemarzały, co przy lichem pożywieniu, wyłącznie pędami drzew, zawierającemi wiele żywicznych części, powodowało wybuch chorób żołądkowych lub łamikostu, na które ginęły. Właśnie tego wieczora gdy kusy dowlókł się tam ledwo żywy, padła jedna sztuka pod stertą. Lis był już tak wycieńczony i słaby, że z wielkim trudem rozdarł skórę na brzuchu jeszcze ciepłej sarny, a gdy się dobrał do wnętrzności, spożywał je z apetytem, rozkoszując się tą niespodziewaną ucztą, — z przerwami, aż do rana. Czego nie mógł zjeść, wziął w pysk, ile tylko mógł unieść i poszedł z tem do swej jamy. Był już teraz ocalony.

Wkrótce wyzdrowiał zupełnie i nabrał sił do walki życiowej. Gdy po tym wypadku, kiedykolwiek, — trafił na ślad powłoki, szedł ostrożnie z boku tak długo, aż znalazł podłożoną gałkę ze strychniną, brał ją ostrożnie w przednie zęby, odnosił na bok parę kroków, wygrzebywał w śniegu jamkę, kładł w nią gałkę, a zakrywszy ją śniegiem, podnosił tylną nogę i dawał tam swoją pieczęć na znak innym lisom, aby w tem miejscu niczego nie szukały. Swoim lisim rozumem kombinował, że obowiązkiem najwyższym każdego żyjącego stworzenia jest utrzymanie swego gatunku. Miał sposobność doświadczyć tego, że dwunogi, aby wyniszczyć lisy, kładzie podstępnie zatrute gałki po polach. Jeżeli te gałki znajdą lisy, które nic nie wiedzą o truciźnie, to zjedzą je i zginą. Ma więc obowiązek zapobiedz temu. Ostrzedz o tem braci w całej okolicy niema sposobu, trzeba przeto ukryć zdradliwe gałki przed ich wzrokiem, aby zaś węchem nie szukali trutki pod śniegiem, daje im znak.

Naturalnie, że człowiek, który sądzi, że tylko on ma rozum, a reszta zwierząt posiada tylko tak zwany instynkt, nie uwierzy, że lis jest zdolny do takiego rozumowania. Lecz chcielibyśmy wiedzieć, jak fakt powyżej przytoczony, znany myśliwym, trującym lisy, można inaczej wytłomaczyć. Jeżeli to jest instynktem, to dlaczego lis zakopuje znalezioną gałkę, dlaczego to miejsce znaczy swym moczem? Instynkt conajwyżej nie pozwoliłby mu spożywać rzeczy niewidzianych i nieznanych. Widzimy jednak, że lisy zjadają gałki i trują się, lecz jeżeli czasem, zakosztowawszy strychniny, wyjdą cało, wtedy zamiast uciekać od poznanych już niebezpiecznych rzeczy, mają tyle śmiałości, że noszą je w zębach i zagrzebują. Kto uważnie obserwuje życie zwierząt, ten musi dojść do przeświadczenia, że zwierzęta obdarzone są rozumem i zdolne są do stawiania wniosków i dawania na nie odpowiedzi swem zachowaniem. Każde zwierzę różni się nawet w najbliższej rodzinie indywidualnie i nie można znaleźć dwóch osobników tego samego gatunku, jednakowo fizycznie i umysłowo rozwiniętych. I kusy nie był przeciętnym lisem, miał więcej sprytu i rozumu od reszty swoich braci, dlatego wychodził cało z najniebezpieczniejszych dla jego życia zdarzeń.

(Dok. nast.).

LEON STARKIEWICZ.



Z pokazu trofeów łowieckich w Brodnicy (Pomorze). Kolegjum sędziów i wystawcy. (Vide art. na str. 696)

GROUSY A OCHRONA PARDWY W POLSCE.

Na łamach „Łowca Polskiego" (nr. 29/805) z dn. 25 października b. r. ukazał się artykuł p. n. „W sprawie ochrony pardwy w Polsce" pióra p. Władysława Zabiełły, omawiający konieczność ochrony tego ciekawego ptaka w Polsce. Niema dwóch zdań, że pardwa, jako ptak zamieszkujący mały stosunkowo obszar Polski, zasługuje w całej pełni u nas na ochronę.

Nie mam zastrzeżeń odnośnie do sposobów ochrony pardwy, w wymienionym artykule omawianych, mam natomiast bardzo poważne zastrzeżenia co do sugerowania na str. 569 przez Szanownego Autora artykułu aklimatyzacji pardwy szkockiej, czyli t. zw. grouse *Lagopus scoticus* (Lath.) w Polsce.

W tej sprawie, jak wogóle w sprawie importu obcej zwierzyny do danego kraju, trzeba postępować niezmiernie ostrożnie, by przez import obcych gatunków nie zakłócić równowagi biologicznej, panującej w przyrodzie. Trzeba dobrze zastanowić się nad tem, czy wprowadzenie obcego gatunku nie wywrze szkodliwego wpływu na niektórych przedstawicieli fauny miejscowej, czy przypadkiem importowany gatunek, o ile natrafi na sprzyjające m warunki bytu, nie rozmnoży się zbytnio i nie zacznie wypierać miejscowego, cennego i wymagającego ochrony gatunku. Zachodzi też pytanie niemałej wagi, czy wogóle importowany gatunek znajdzie na nowym obszarze zamieszkania odpowiednie warunki bytu (np. stosunki klimatyczne), w braku których szybko tam wyginie. Jeszcze jeden wzgląd przemawia przeciw importowi obcych gatunków, mianowicie z punktu widzenia ochrony przyrody sprowadzanie obcych gatunków do danego kraju jest niedopuszczalne. Idea ochrony przyrody głosi bowiem całkowite zachowanie przyrody kraju w jej pierwotnym typie. Z tym postulatem import obcych elementów faunistycznych absolutnie pogodzić się nie da.

Szanowny Autor wspomnianego artykułu poddaje myśl importu pokrewnego naszym pardwom gatunku i co jest bardzo ważnem, zamieszkującego takie same jak te ostatnie środowiska. Przypatrzmy się obu tym gatunkom.

Pardwa północna *(Lagopus lagopus* (L.) zamieszkuje w formie typowej olbrzymią przestrzeń od Skandynawji przez Syberję aż do północno-wschodnich krańców Azji. W Europie zamieszkuje ona znaczną część Norwegji i Szwecji, dalej Finlandję, Estonję, Łotwę, Litwę Kowieńską, w Polsce zaś tylko jej północno-wschodni kraniec; w Prusach wschodnich prawdopodobnie już jej obecnie niema. W Rosji ptak ten znany jest z okolic Mińska, Witebska, Smoleńska, Moskwy, Rjazania, Tambowa, Niżniego Nowgorodu, Kostromy, Wjatki i z Uralu. Ubarwienie pardwy północnej jest w zimie prawie zupełnie białe, a w lecie, składające się z barw brunatnej, rdzawej, czarnej i białej.*)

Pardwa szkocka (*Lagopus scoticus* (Lath.), zamieszkująca mokradła Szkocji, wysp Hebrydów i Orkadów, niektórych części Anglji i torfowiska Irlandji, jest gatunkiem pokrewnym naszej pardwie północnej, odznacza się jednak od tej ostatniej tem, że na zimę nie bieleje, a przez cały rok posiada ubarwienie, w skład którego wchodzą te same barwy, co w letniem upierzeniu pardwy północnej.*) Mamy tu dwa odrębne, ale blisko spokrewnione gatunki. Gatunki te zamieszkują w swych ojczyznach podobne środowiska (torfowiska, mokradła) importy więc musiałyby być w podobnych środowiskach wypuszczane na wolność, co mogłoby w razie ich

*) Por. Hartert, E. Dr. — Die Vögel der paläarktischen Fauna. T. III. Berlin 1921/22. *(Przyp. aut.)*

aklimatyzacji i silnego rozrodu spowodować wypieranie pardwy północnej z miejsc jej zamieszkania.

Wątpliwem jest, czy pardwa szkocka, zamieszkująca kraje o klimacie wybitnie oceanicznym, znacznie łagodniejszym od klimatu naszych kresów północno-wschodnich, wogóle będzie mogła się u nas zaaklimatyzować.

Zachodzi więc pytanie, poco ryzykować import pardwy szkockiej, który może okazać się dla naszej pardwy szkodliwym, kiedy możemy w ostateczności, celem powiększenia zwierzostanu pardwy północnej w Polsce, sprowadzać osobniki tego samego gatunku z państw bałtyckich, a zwłaszcza z Rosji, czyli z krajów o klimacie podobnym do klimatu Wileńszczyzny.

Jeżeli więc Sekcja Ochrony Pardwy przy Towarzystwie Łowieckiem Ziem Wschodnich uzna za stosowne importować pardwy do Polski, to niech importuje pardwy północne z krajów, sąsiadujących z Polską, a nie pardwy szkockie ze Szkocji lub Anglji. Będzie to przedsięwzięcie pozbawione ryzyka niezaaklimatyzowania się u nas importów i zapewne pożyteczne dla naszych pardw, nie będzie się też ono sprzeciwiać zasadom ochrony przyrody.

Dr. JÓZEF FUDAKOWSKI.
Docent Uniw. Jagiell.

*

Podzielając w zupełności negatywne stanowisko idei ochrony przyrody w sprawie importu i aklimatyzacji obcych gatunków, a to celem możliwie całkowitego zachowania fauny kraju w jej pierwotnym typie, czemu Redakcja „Łowca P." niejednokrotnie dawała zdecydowany wyraz, jednak, jeśli idzie o próby osiedlenia na niektórych naszych terenach pardwy szkockiej (grous'ów), ze stanowiskiem Szanownego Autora, wyrażonym w powyższym artykule, Redakcja nie może się zgodzić.

Pardwa szkocka nie jest żadnym obcym gatunkiem, a wydaje się być tą samą pardwą, która zamieszkuje całą północ Europy i Azji, tylko przystosowaną do warunków bytowania w Szkocji, t. j. ze względu na łagodność tamtejszych małośnieżnych zim, pozbawioną właściwości zmieniania swego ubarwienia na okres zimowy na całkowicie białe (prócz paru czarnych piórek w ogonie).

Sprawa zmiany ubarwienia na okres zimowy na białe, przyczem proces ten odbywa się bez zmiany upierzenia (lenienia), nie jest, o ile mi wiadomo, dostatecznie naukowo wyjaśnioną i jest np. kwestją, czy pardwy szkockie, lub nasze zające, przeniesione w warunki bytowania, istniejące na północy, nie zaczęłyby ujawniać tendencji do zmiany swej szaty na w większym lub mniejszym stopniu białą, upodobniając się do swych północnych rodaków: pardwy północnej, lub północnego szaraka (nie bielaka), który prócz czarnych końców uszu i wierzchu ogonka i szarego siodełka na grzbiecie, jest zimową porą cały biały w tych miejscach, gdzie u naszego szaraka występuje barwa ruda lub szara. Zdolność do zmiany ubarwienia nie wydaje się być dostatecznem kryterjum do ustalenia odrębnego gatunku, czego przykładem niech będzie zwykły zając, wykazujący na obszarach Europy od północy do południa całą gamę zmian w ubarwieniu, niewiele mniejszą, niż u pardw, a dla którego nie utworzono kilku odrębnych gatunków poza bielakiem. Zdolność zmiany ubarwienia na białe w okresie zimowym, tak cenna w warunkach bytowania zwierząt na północy i północo - wschodzie, gdzie w ciągu całej zimy, mniej więcej od początku grudnia do pierwszych dni kwietnia, niema ani jednego dnia odwilży i ziemia jest pokryta jednym całunem śnieżnym — w warunkach klimatu mniej więcej morskiego, (który i Polska posiada w wybitnym stopniu), kiedy odwilże są na porządku dziennym, a ziemia w okresie zimy zmienia ciągle swój wygląd, staje się, jeśli idzie o ochronę zwierząt, podlegających zmianie ubarwienia na zimę, bardzo problematyczną. Białe ubarwienie, zamiast chronić zwierzęta te przed wrogami wszelkiego rodzaju, zdradza je zdaleka i naraża na zgubę. Na tem też polega rosyjskie polowanie na zające i pardwy (zwane tam białemi kuropatwami) „w uzierk" t. j. „na wypatrzonego", uprawiane, mianowicie w tym okresie, kiedy zwierzyna wobec nadchodzącej zimy już wybielała, a pokrywa śnieżna jeszcze nie okryła ziemi.

Południowa granica rozmieszczenia pardwy, przechodząca, jeśli idzie o obecne granice państwa Polskiego, wzdłuż linji kolejowej Zawiasy — Wilno — Mołodeczno — Olechnowicze (na południu od tej linji, jak widać z przypisku Redakcji Jednodniówki Myśliwskiej p. t. „Myślistwo Wschodnie" pod artykułem p. Pac-Pomarnackiego „Szkic do monografji pardwy", a jak również potwierdzają moje własne przeszło trzydziestoletnie obserwacje, oparte na bardzo dokładnej znajomości wszystkich ważniejszych terenów Wileńszczyzny, pardw ani przed wojną, ani obecnie nigdy nie było), jest zdaje się tą linją, na południe od której owa zdolność do bielenia na zimę jest raczej „privillegium odiosum" i nie przyczynia się do rozmnoży gatunków, temu bieleniu podlegających. Na to też, zdaje się, niema rady i wszelkie próby przesunięcia tej linji dalej na południe wydają się być skazane na niepowodzenie. Niemniej na południe od tej linji w obecnych województwach wileńskiem, nowogródzkiem, białostockiem i poleskiem istnieje bardzo wiele znacznych przeważnie obszarów o krajobrazie wybitnie północnym, pokrytych mszarami, lub wrzosowiskami oraz nieprzerwanym kobiercem jagód i żórawin, borówek, włohiń (pijanic), mącznic, czarnych jagód i innych, a także łozą, które wydają się być wymarzonemi stanowiskami dla pardw.

Tereny te naogół są niemal zupełnie puste. Ze względu na ich mniej więcej otwarty charakter, cietrzewie i głuszce na nich się nie trzymają, względnie w niewielkiej ilości i tylko żórawie uważają ją za swą wyłączną domenę. Spotkałem też kiedyś na takim terenie gniazdowe siewki, zresztą bardzo nieliczne. Na tych terenach niema kogo wypierać, natomiast czuje się poprostu, że brak tu jakiejś właściwej dla takich terenów zwierzyny — a mianowicie pardw.

Stąd idea podjęcia prób osiedlania ich na takich terenach (które podobno można spotykać również w województwie pomorskiem) szkockich pardw, które właśnie posiadają cenną właściwość niezmieniania swej szaty zimą na białą.

Próby takie, sądząc z wiadomości, zamieszczanych w niemieckiej prasie łowieckiej, były przeprowadzane w północnych Niemczech i zostały uwieńczone powodzeniem.

Żadne niebezpieczeństwo dla naszych pardw, jak widać z powyższego przedstawienia sprawy, z prób takich nie grozi, chodzi bowiem o tereny, gdzie pardw tych niema. O tem, by pardwy szkockie miały sięgnąć na północ i wyprzeć, względnie zmienić typ naszej pardwy, też nie może być mowy, gdyż ta sama przyczyna, która stoi na przeszkodzie przesunięciu południowej granicy zasięgu pardw, *mutatis mutandis* stanie na przeszkodzie posunięciu się pardw szkockich na północ.

Należy też zauważyć że wszelkie dotychczas podejmowane próby osiedlania naszych pardw na południe od wspomnianej wyżej granicy zasięgu, stale, o ile mi wiadomo, kończyły się niepowodzeniem. W przeciwnym razie osiedlenie naszych pardw na odpowiednich terenach, tam gdzie ich teraz niema, byłoby oczywiście najlepszym rozwiązaniem sprawy.

Z tego też względu zgóry wydają się skazane na niepowodzenie, (z istoty swej zbędne, gdyż do tego

celu możnaby użyć naszych pardw) wszelkie próby osiedlania u nas pardw północnych, sprowadzanych z zagranicy: z krajów bałtyckich, północnej Rosji i t. p.

Czy próby osiedlania szkockich pardw u nas się udadzą i dlaczego u nas nie wytworzył się typ pardw o właściwościach podobnych szkockim, trudno dzisiaj powiedzieć. W każdym razie, sądząc z pomyślnych wyników takich prób w Niemczech i mając na względzie wielkie obszary obecnie pustych terenów, należy dojść do przekonania, że gra jest warta świecy i że nawoływania w tym kierunku znajdują swe usprawiedliwienie.

W. GARCZYŃSKI.

O POLOWANIACH NA DZIKI.

Zima. Każdy prawie las kryje w sobie tysiące tajemnic, złudzeń i niespodzianek, które wstrząsają sercem myśliwego i przypominają mu, że ma w sobie owo odwieczne, nieprzeparte i niepokonane pragnienie polowania, zamykające w sobie wszystkie krańcowe uczucia — od litości aż do zimnego mordu włącznie.

Specyficzne miejsce zajmują wśród wszystkich innych polowania na dziki. Każdy myśliwy wie i rozumie, jak wielkie ma możliwości, lecz zgadza się jednocześnie, że może go spotkać kompletny zawód, — bo jak różnorodnych i jak wielu trzeba spełnienia warunków, aby osiągnąć pozytywny rezultat w każdem polowaniu, a tembardziej w polowaniu na potentata kniei— dzika. Tu nie wystarczy umiejętność i roztropność prowadzącego polowanie, który uzgadnia warunki atmosferyczne, przechody dzików, odpowiednie miejsca stanowisk; nie wystarczy odpowiednie zachowanie się myśliwych, ich rozstawienie, czy odległość gąszczów; nie wystarczy nic, jeśli „pan kniei", niepomyślnym wiedziony trafem, a nieostrzeżony zbawczym instynktem, nie wejdzie pod bieg kuli, aby uradować i uszczęśliwić myśliwego, który czekał na mgnienie oka trwające pociągnięcie cyngla przez długie minuty, czy nawet godziny na trzaskającym mrozie, bez ruchu, wśród wielkiej przestrzeni, skulony, a choć potężny możliwościami — zdany na los szczęścia.

Tak, traf najczęściej tylko powoduje, że las rozbrzmiewa echem strzału, zwierz ruluje w ogniu — farba barwi śnieg, dając przepiękne połączenia: przeczystej bieli z najprawdziwszą czerwienią, a myśliwy cieszy się z pomyślnego rezultatu wygranej walki ze zmysłem zwierza. Niemniejsze jednak uczucie opanowuje prowadzącego polowanie, który wie, że dobry rezultat da myśliwym głębokie przekonanie o jego walorach, nakaże im poszanowanie dla autorytetu, wprowadzi w ich szeregi karność i porządek. Wszystko to jest dla niego już wielką nagrodą. A jednak wielkie nieraz trudy musi ponieść prowadzący, aby otrzymać dobry wynik polowania... Sam musi być w miocie, rozstrzygać zasadnicze kwestje, sprawdzać stanowiska — a przedewszystkiem je przygotować. Zakładanie stanowisk na krótko przed polowaniem jest rzeczą z gruntu fałszywą. Czynność tę należy wykonać na parę miesięcy wcześniej, a jeszcze lepiej myśleć o niej przy sadzeniu lasu. Ja np. sadzę zwykle w odstępach 60 metrowych świerki w formie półkola, aby z czasem otrzymać t. zw. żywy kosz. Jeszcze jednak lepiej jest sadzić tuje, a to ze względów praktycznych i estetycznych. Naturalnie nie będziemy się starać o to, aby każde stanowisko miało szerokie i swobodne pole obstrzału — nie będziemy unikać gąszczów, gdyż jasnem jest, że tam dziki chętnie i często przechodzą.

Wśród różnych rodzajów warto zastanowić się nad dwoma systemami polowań — z naganką i z psami. W razie dużej ilości dzików w łowisku — opowiedziałbym się bezwzględnie za pierwszym. Przy dobrze prowadzonem polowaniu powinno się udać wypłoszenie dzików na linję myśliwych, z których każdy ma naogół równe szanse. W wypadku przeciwnym, gdy dzików jest mniej, nieocenionemi stają się polowania z małemi psami (gdzie duży śnieg nie przeszkadza — jamniki); przedewszystkiem psy, a zwłaszcza goniące tylko za dzikiem — nie niepokoją tak rewiru, jak hałaśliwa naganka, a następnie głosy psów ułatwiają orjentację myśliwym. Jakżeż często się zdarza w wypadkach pędzenia, że na myśliwego idą już dziki, a on spłoszy je jakimś nieostrożnym ruchem. Tutaj zaś głos sfory mówi wyraźnie o miejscu pobytu dzików, o kierunku, w jakim się polowanie posuwa, daje myśliwemu wiele emocji, gdy słyszy, że dziki idą na niego, ostrzega go przed niespodzianką i t. d.

W ścisłym związku z długiem nieraz czekaniem na stanowisku pozostaje laska myśliwska. Wśród wielu myśliwych, którzy są jej wrogami, krążą najróżnorodniejsze zdania o niewygodach jej stosowania: „upada w najważniejszej chwili", „można ją łatwo zapomnieć", „często klapie" i t. p. A jednak o ile spokojniej można przebywać na stanowisku, jeśli używa się tego wygodnego sprzętu. Przesądem zaś tylko jest, że nie można strzelać z pozycji siedzącej; po małym już treningu nie odczuwa się najmniejszej różnicy i strzela się taksamo pewnie, jak stojąc. Zresztą, jeśli ktoś i tego nie uzna, to musi w końcu przyznać, że zawsze można się podnieść bezszelestnie na sam moment strzału, nie płosząc wcale zwierzyny. Drugim punktem spornym, tym razem już zupełnie problematycznym — jest palenie na stanowisku. Nie chcę spierać się z wrogami tej przyjemności, bo uznaję całkowicie ich indywidualność, ale na poparcie mego poglądu — że palić wolno — podam kilka uwag. Uważam, że do ostrzeżenia zwierzyny wystarczy zupełnie „odwiatr" myśliwego i dlatego dym tytoniowy nie gra nigdy roli straszaka



Pod samą leśniczówką. Fot. inż. St. Steliński.

Z drugiej znów strony dzięki paleniu mogę łatwo poznać kierunek wiatru, co wpływa często na szybkość decyzji strzału. Lot dymu zaś nakazuje mi strzelanie do zwierzyny zanim mnie spostrzeże. Wogóle do tej pory palenie przyniosło mi więcej korzyści, niż szkody.

Powracając jednak do ekwipunku, należy wspomnieć o kordelasie — koniecznym dla każdego myśliwego. Jakże często się zdarza, że dzik ruluje w ogniu, a jednak ranny tylko — męczy się jeszcze długo. Nie każdy myśliwy strzela do rannego, leżącego dzika, — tu jest właśnie rola kordelasa. Przy poszukiwaniu postrzałka powinno się używać „piki" *). To nie żart, bo widzę, że się panowie śmiejecie. Naturalnie łatwiej jest strzelać do atakującego dzika np. z Brenneke, z takiego „słonia" niełatwo spudłować, a przy nowoczesnych

*) Pika — grot — ostrze obustronne dł. około 30 cm., szer. 4 cm., osadzony na drągu dł. 1,5 m., grub. 5—6 cm.

kulach miejsce trafienia nie gra wielkiej roli, ale nie zapominajmy, że polowanie to nietylko zabijanie, polowanie to sport, a przedewszystkiem walka, walka ze zmysłami zwierzyny. Mając zawsze olbrzymie szanse, dajmy jej tu choć jedną — niech obok zmysłów wejdzie w grę siła.

Zresztą dziki, wbrew utartym pogłoskom, nie są skore do ataku. Nawet ranione odyńce niechętnie rzucają się na myśliwego. Mnie zdarzyły się dopiero trzy wypadki walki z dzikiem i to zawsze z maciorami. Pierwszy raz, nie mając ze sobą piki, musiałem strzelać do atakującej maciory prosto między oczy. Drugi raz miałem starcie z chorą lochą (około trzech lat), która z powodu osłabienia nie mogła się zdobyć na gwałtowny atak, więc dała mi możność celnego wbicia piki — padła na miejscu. Trzecie i niestety ostatnie dotychczas spotkanie z dzikiem było ciekawsze i dlatego dłużej się na niem zatrzymam. Na jednem z polowań na zające, które nb. miało bardzo zły rezultat, udało się otropić kilka dzików, które znajdowały się w gąszczu świerkowym , otoczonym rzadszą sosną. Wydałem dwu gajowym polecenie, aby udali się z psami (jamnikami) do zagajnika, tam je spuścili, a sami szli dalej po tropach. Ledwo zdążyłem rozstawić myśliwych, a już słyszę głos psów — w kierunku głównego stanowiska, za chwilę padają tam dwa strzały. Po głosach psów poznaję, że oszczekują one tylko jedną sztukę, która wyszła z miotu. Proszę więc Pana Generała P., który strzelał do dzików, aby udał się z gajowym do znanego mi przejścia, a sam śpieszę za psami. Po przebyciu zaledwie 20 kroków spostrzegam maciorę, broniącą się przeciw atakującym jamnikom. W chwili, gdy zachęcam psy do dalszej walki — ona obraca się w moim kierunku i momentalnie atakuje... Już stoję w pozycji obronnej—nastawiam pikę i... nie trafiam dobrze; grot piki, wbity w kość, krzywi się, stając się niezdatnym do użytku. Już przy pierwszem starciu straciłem dwa metry terenu, popchnięty impetem dzika. Zaczyna się dla mnie dość kłopotliwa sytuacja — zapominam, że mam kordelas i próbuję ponowić atak swoją zgiętą piką — naturalnie bez skutku. W tej chwili jednak nadchodzi Generał P. i kładzie zwierza jednym strzałem. Jakkolwiek żałowałem, że walki nie mogłem sam zakończyć, to jednak wzbogaciłem się o jedno doświadczenie — kazałem wzmocnić wszystkie piki. Następnym razem pójdzie gładko.

ADOLF KREUTZER.

HISTORJA BOBRA W ORDYNACJI DAWIDGRÓDECKIEJ.

Bobrów dawnemi czasy w Ordynacji Dawidgródeckiej było dużo. Gnieździły się one w puszczy nad rzeką Lwą i rzeczkami do niej wpływającemi, a w Nadleśnictwie Tursko-Ladeckiem w tak nazywanym „Stariku". Gnieździły się też nad Stwigą. Do czasu wojny stan ich zmniejszał się przerażająco prędko, a podczas tak zwanej „swobody" (1918—1921) wytępili je do szczętu kłusownicy. Ostatni bóbr padł w 1921 r. w okolicach Perebrodów nad Lwą. Od tego czasu tak w Ordynacji, jak i w sąsiednich okolicach słuch o bobrach zaginął.

W 1932 r., a było to już jesienią, przyszło do mnie dwóch gajowych Nadleśnictwa Stasińskiego, Ordynacji Dawidgródeckiej, z tem, że jakiś szkodnik psuje im drzewa, na dowód czego pokazali mi dwa grube kawałki drzewa, ścięte w dziwny sposób. Odrazu poznałem, że to robota bobra. Trzeba jednakże zrozumieć położenie lasu stasińskiego, aby pojąć, jak mało było prawdopodobieństwa, żeby bóbr mógł tam przybyć. Las stasiński, położony najbliżej Mańkiewicz, mojej rezydencji, przedstawia osobny zupełnie kompleks, niełączący się z innemi częściami Ordynacji. Sosnowy ten las, zupełnie niemający tego typowego, dzikiego wyglądu poleskiego, ciągnący się jakby kiszką między Horyniem i Prypecią, mokry jest tylko od strony Prypeci, gdzie wzdłuż niego leży błoto, tak zwane Moroczna, które zresztą jest skanalizowane. Kanały te wychodzą z mojego lasu, ciągną się przez tereny włościańskie, dalej Kieniewiczów i wpadają do rzeki Wietlicy w odległości 25 kilometrów od lasu stasińskiego. Skonstatowawszy jednakże bezapelacyjnie, że była to robota bobra, kazałem gajowym szukać jego żeremia. Po kilku dniach gajowi faktycznie znaleźli chatę. Natychmiast pojechałem tam i o 10 kroków od kanału, na malutkiej łące, zobaczyłem między łozami zwaloną kupę gałęzi na wysokość człowieka (takie to robiło wrażenie na pierwszy rzut oka), lecz, kiedy lepiej się wpatrzyłem, spostrzegłem, że gałęzie były rozmieszczone według pewnego systemu.

Kazałem więc tylko gajowym, aby zimą daleko obchodzili ten ostęp, gdzie jest bóbr, do chaty zaś, broń Boże, nie zbliżali się.

Skonstatować, czy był tam jeden bóbr, czy więcej, nie było jednak możliwe, gdyż ślady były jednakowej wielkości. Jedynie pozostała tylko nadzieja, że bóbr pojedyńczo nie mieszka, a tem samem nie stawiałby chaty, gdyby był samotny.

Rok 1933 przeszedł cicho. Dopiero w 1934 r. bóbr zagrodził kanał i wybudował przezeń groblę, a chatę lepiej opatrzył. Latem 1934 r. gajowy, siedząc przez kilka wieczorów z rzędu nad kanałem, powyżej chaty, zobaczył raz bobra, płynącego kanałem.

Wreszcie rok 1935 dał nam miłe niespodzianki. Latem tego roku, nie mogąc sam pójść skontrolować, wysłałem młodego Andrzeja Dobrskiego, aby wraz z gajowym obejrzał chatę bobrową. Okazało się, że bobry dobudowały do starej chaty nową, dużo większą, mającą 2 metry długości, a na wysokość człowieka. Przylepiona jest ona do starej. Przytem zbudowały sobie drugą tamę tak, że wytworzyły się dwa sztuczne jeziorka koło chat. Powyżej, na kanale, wybudowały trzecią tamę. Ze śladów na pogniecionej trawie widać było, że leżały dwa stare bobry i trzy młode. Zresztą, kiedy Dobrski podchodził do chaty, widział jednego bobra. W kilka dni później gajowy, siedząc dla obserwacji na kanale, powyżej chat, zobaczył dwa stare bobry. Jednem słowem, obecnie stanowczo można stwierdzić, że bobrów jest conajmniej jedna rodzina. Śladów widać wszędzie dużo i to różnego kalibru.

Bobry więc wróciły do Ordynacji Dawidgródeckiej, lecz nie do wielkiej puszczy, a do najbliższego od mojego domu lasu, gdzie dozór jest łatwiejszy i gdzie można im zapewnić spokój przed kłusownikami.

Ciekawe jest jednak, skąd bobry tu przybyły? W każdym razie do Stasina musiały trafić kanałem od Wietlicy (25 km.). Sąsiad mój, p. Cezary Kieniewicz, opowiedział mi, że w 1932 r. parobcy jego obserwowali zwierza, płynącego po kanale, jakiego nigdy w życiu nie widzieli. Musiał to być z pewnością bóbr. Rzeka Wietlica łączy się z Prypecią, a wczesną wiosną, przy wysokiej wodzie — z Horyniem. Po wojnie jednakże nikt w tych okolicach o bobrach nie słyszał. Może przybyły z Wołynia, lub z pod Szczary — niewiadomo.

Ciekawe jest też, że podobno 50 lat temu bobry zamieszkiwały niedaleko od miejsca, gdzie obecnie się znajdują i nawet błotko to nazywa się po dzień dzisiejszy „Bobrową chatką". Może atawizm kazał im tu przywędrować, ja zaś, ciesząc się z tego bardzo, troszczyć się będę całem sercem, aby odnowić tego tak rzadkiego zwierza.

Może mi się to uda, jak udało się z łosiami.

KAROL RADZIWIŁŁ.

ZMIANY OKRESÓW OCHRONNYCH.

ROZPORZĄDZENIE MINISTRA ROLNICTWA I RERORM ROLNYCH

z dnia 20 listopada 1935 r.

(Dziennik Ustaw R. P. Nr. 86 z dnia 28. XI. 1935 r.)

o zezwoleniu na polowanie na łanie i cielęta jelenia i daniela oraz na sarny-kozy i koźlęta w województwach poznańskiem i pomorskiem.

Na podstawie art. 51 ust. 1 pkt. e) rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 3 grudnia 1927 r. o prawie łowieckiem (Dz. U. R. P. Nr. 110, poz. 934) w brzmieniu, ustalonem rozporządzeniem Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 11 lipca 1932 r. (Dz. U. R. P. Nr. 67, poz. 622), zarządzam co następuje:

§ 1. Na obszarze województw poznańskiego i pomorskiego zezwala się polować:

na łanie i cielęta jelenia w okresie od 1 grudnia do 28 lutego,

na łanie i cielęta daniela w okresie od 1 stycznia do 28 lutego,

oraz na sarny-kozy i koźlęta w okresie od 1 stycznia do 15 marca.

§ 2. Rozporządzenie niniejsze wchodzi w życie z dniem 1 grudnia 1935 r. i obowiązuje do dnia 31 grudnia 1936 r.

Minister Rolnictwa i Reform Rolnych:
J. Poniatowski.

ROZPORZĄDZENIE MINISTRA ROLNICTWA I REFORM ROLNYCH

z dnia 20 listopada 1935 r.

(Dziennik Ustaw R. P. Nr. 86 z dnia 28 XI. 1935 r.)

o ochronie niektórych zwierząt łownych.

Na podstawie art. 51 ust. 1 pkt. a), b) i c) rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 3 grudnia 1927 r. o prawie łowieckiem (Dz. U. R. P. Nr. 110, poz. 934) w brzmieniu, ustalonem rozporządzeniem Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 11 lipca 1932 r. (Dz. U. R. P. Nr. 67, poz. 622) zarządzam co następuje:

§ 1. Czas ochrony, ustalony w art. 49 rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 3 grudnia 1927 roku o prawie łowieckiem, rozszerza się tak, że obejmuje on:

dla danieli-rogaczy okres od 1 grudnia do 15 października,

dla sarn-kozłów w województwach poznańskiem i pomorskiem okres od 1 października do 31 maja i od 16 lipca do 15 sierpnia, w województwach: krakowskiem, lwowskiem, stanisławowskiem i tarnopolskiem okres od 1 lutego do 31 maja, w województwach zaś pozostałych okres od 1 lutego do 15 maja,

dla zajęcy szaraków w województwach poznańskiem i pomorskiem okres od 1 stycznia do 15 października, w województwach: wileńskiem, nowogródzkiem i poleskiem okres od 1 lutego do 31 października, w województwach zaś pozostałych okres od 1 lutego do 15 października;

dla bażantów-kogutów okres od 1 marca do 15 października,

dla dzikich kaczorów okres od 1 czerwca do 15-go lipca,

dla dzikich kaczek (samic i młodych) oraz innego ptactwa wodnego i błotnego okres od 1 stycznia do 15 lipca,

dla puhaczy w województwie wileńskiem okres od 1 marca do 15 września, w województwach zaś pozostałych okres od 1 lutego do 31 października.

§ 2. Zabrania się całkowicie polowania na łosie-byki, dropie i dropie-kamionki (strepety).

§ 3. Wprowadza się okres ochronny dla:

dzików od 1 marca do 30 czerwca;

niedźwiedzi od 16 stycznia do 15 grudnia;

rysi od 1 marca do 31 grudnia;

żbików od 1 lutego do 30 września;

kun leśnych (tumaków) od 1 marca do 30 września;

norek od 1 lutego do 31 grudnia.

§ 4. Rozporządzenie niniejsze wchodzi w życie z dniem 1 stycznia 1936 r. i obowiązuje do dnia 31-go grudnia 1938 r. Jednocześnie traci moc obowiązującą rozporządzenie Ministra Rolnictwa i Reform Rolnych z dnia 12 listopada 1934 r. o wprowadzeniu czasu ochronnego dla niektórych zwierząt łownych (Dz. U. R. P. Nr. 104, poz. 930).

Minister Rolnictwa i Reform Rolnych:
J. Poniatowski.



Grupa myśliwych na polowaniu Kaliskiego Garnizonowego Koła Łowieckiego, w dniu 4.XI.1935 r. na terenach Kościelna Wieś, pow. Kaliskiego. (Vide „Kronika myśliwska" na str. 698).

Z ŻAŁOBNEJ KARTY.

Zmarł ś. p. Aleksander Stolarow, światowej sławy znawca psów myśliwskich, wielce zasłużony na polu rozwoju kynologji w Polsce, znany szerokim kołom myśliwych polskich, jako sędzia na wystawach i próbach polowych, nagrodzony Złotym Medalem Zasługi na polu łowiectwa przez Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich, honorowy członek Pointer-Klubu w Polsce.

Zmarły był wybitnym myśliwym i pisarzem łowieckim i artykuły jego z dziedziny łowiectwa pojawiały się również na łamach „Łowca Polskiego".

Wieść o Jego śmierci zaskoczyła nas w chwili zamknięcia niniejszego numeru. Zanim będziemy mieli możność zamieścić w „Łowcu P." artykuł, poświęcony pamięci i działalności Zmarłego, dzielimy się z Sz. Czytelnikami wiadomością o ciężkiej stracie, jaką łowiectwo polskie, w szczególności zaś kynologja, ze śmiercią ś. p. A. Stolarowa ponosi.

Na pogrzeb ś. p. A. Stolarowa z ramienia Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, Polskiego Towarzystwa Łowieckiego, Towarzystwa Hodowli Psów Myśliwskich, Pointer-Klubu, Setter-Klubu i Klubu Wyżła Niemieckiego została wysłana do Łodzi specjalna delegacja w osobach red. W. Garczyńskiego i mec. B. Przychodźki, w skład której wszedł także zamieszkały stale w Łodzi Członek Zarządu P. Z. S. Ł., p. Józef Krauze.

Cześć pamięci zacnego i zasłużonego dla łowiectwa polskiego Człowieka!

REDAKCJA.

POKAZ W BRODNICY.

Klub Myśliwski w Brodnicy z okazji 15-lecia swego istnienia urządził w dniach od 3—6 listopada 1935 r. Pokaz Trofeów Łowieckich. Uroczystość otwarcia pokazu odbyła się w dn. 3 listopada b. r. o godz. 12-tej w południe. Otwarcia dokonał miejscowy Starosta Powiatowy p. Mieczysław Galusiński. Na uroczystości otwarcia byli obecni wszyscy przedstawiciele miejscowych władz i organizacyj społecznych, wraz z pp. nadleśniczymi lasów państwowych tutejszego powiatu.

Przed otwarciem pokazu zebranych przedstawicieli oraz członków Klubu przywitał prezes Klubu p. Andrzej Rzyski, który w krótkich słowach nakreślił działalność Klubu w ciągu lat 15-tu, wymieniając członków założycieli.

Zkolei delegat Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, p. Jan Kędzierski, wygłosił odczyt na temat ogólny o łowiectwie w Polsce. Po zwiedzeniu pokazu nastąpiło w dolnych salach strzelnicy wspólne śniadanie, w którem wzięli udział zebrani w liczbie około 60 osób. Podczas śniadania przemawiali na temat spraw gospodarki łowieckiej w Polsce: pp. Starosta Powiatowy Galusiński, prezes Klubu Rzyski, burmistrz miasta Blokus.

Po śniadaniu nastąpiło strzelanie do tarczy (rogacza), zorganizowane przez Klub Myśliwski. Udział w strzelaniu wzięli myśliwi z powiatu i goście. Strzelanie odbyło się na odległość 80 m. do tarczy — normalnej wielkości rogacza.

Nagrody zdobyli pp.:

I — Maciejewski Witold; II — Kędzierski Jerzy; III — Rzyski Andrzej; IV — Maciejewski Stefan; V — Kędzierski Jan; VI — Gniazdowski Tadeusz; VII — Ks. Dzienisz Leonard.

Urządzony pokaz trofeów obejmował tylko powiat brodnicki. Wystawców razem było 28. Trofeów wystawiono około 500 sztuk. Przeważały parostki rogaczy, z pośród których było kilkanaście rzeczywiście pięknych okazów, oraz całe serje parostków selekcyjnych, odstrzelonych w ostatnich latach ze względów hodowlanych (dwuletni zakaz strzelania rogaczy na Pomorzu).

Wieńców jeleni była wystawiona spora liczba, gdyż trzeba przyznać, że powiat brodnicki należy do powiatów w Polsce, obfitujących w piękny zwierzostan. Wyróżniały się wieńce, stanowiące własność p. Nadleśniczego Soboczyńskiego i p. Nadleśniczego Kiszkiela, odznaczone już na wystawie w Warszawie złotym i srebrnym medalem. Ładne łopaty danieli wystawił p. Rade z Wrock.

Dla dekoracji nie brakło też ładnie preparowanych skór niedźwiedzi, wilków, dzików oraz wartościowych obrazów.

Całość pokazu była dobrze opracowana — rozmieszczenie eksponatów udatne, w dużych salach, dobrze oświetlonych, toteż ogólnie pokaz przedstawiał ładny widok. Dopełniały pokaz wykresy zwierzostanu z powiatu oraz wykresy zabitych szkodników. Wykresy obejmowały łowiska prywatne, dzierżawione oraz lasy państwowe na terenie powiatu brodnickiego.

Pokaz oglądało w przeciągu 4 dni około 600 osób, nie licząc uczniów szkół, którzy zwiedzali pokaz gromadnie, pod opieką swoich wychowawców.

Wystawcom rozdano 13 dyplomów, które ofiarowało Pomorskie Towarzystwo Łowieckie w Toruniu oraz przyznano 3 medale, ofiarowane przez Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich w Warszawie.

JAN KĘDZIERSKI.

PRZEGLĄD WYDAWNICTW.

B o l e s ł a w Ś w i ę t o r z e c k i. *Podstawy łowiectwa oraz zarys teorji strzału śrutowego*. Nakładem Feliksa Zawadzkiego w Wilnie. Cena zł. 8.

Z pod zawsze świetnego pióra p. Bolesława Świętorzeckiego wyszła książka, brak której coraz bardziej dawał odczuwać się w naszem ubogiem piśmiennictwie łowieckiem. Od czasu doskonałych wydawnictw przedwojennego „Łowca Polskiego", pióra Sztolcmana, Biesiekierskiego, Stephana i innych, upłynęło wiele wody i prace te, zawsze doskonałe, pod niektóremi względami stały się przestarzałe. Zmienił się od tej pory pod wieloma względami pogląd na rolę i znaczenie drapieżników, runęła zasada bezwzględnego oszczędzania samic zwierzyny racicznej, powstały teorje selekcyjnego odstrzału, skurczyła się większa własność, o którą przedewszystkiem było oparte przedwojenne łowiectwo, słowem w wielu dziedzinach nastąpiła głęboka zmiana poglądów i metod hodowlanych. Zmieniło się też wiele w zakresie poglądów na strzał śrutowy. Choć niby strzelamy, jak i przed wojną, bezdymnym prochem, jednak ten ostatni ostatecznie już wyparł proch czarny, zniknęły lufy dziwerowe; na podstawie wyników oficjalnych doświadczeń, przeprowadzanych przy pomocy precyzyjnych przyrządów, zmieniły się i udoskonaliły pod wieloma względami poglądy na strzał śrutowy i kulowy. Te wszystkie zmiany w znakomity sposób przedstawia i wyjaśnia doskonała, przynosząca chlubę naszej literaturze łowieckiej książka prezesa Świętorzeckiego, modernizując we wszystkich niemal dziedzinach (prócz strzału kulowego) nasze poglądy łowieckie. Praca prezesa Świętorzeckiego nie jest jednak bynajmniej mniej lub więcej udatnem przedstawieniem poglądów i prądów, panujących w łowiectwie zagranicą i znajdujących swój wyraz w zagranicznem piśmiennictwie łowieckiem. Zbyt głębokim znawcą łowiectwa jest prezes Świętorzecki, by nie miał pójść swojemi drogami, nieraz odmiennemi od utartych torów, by w pracy swej na każdym kroku nie wypowiadał własnych oryginalnych poglądów, z któremi w wyjątkowych tylko wypadkach możnaby się nie godzić.

Toteż każdy szanujący się myśliwy, pragnący być w toku współczesnej myśli łowieckiej zarówno ogólno światowej, jak i rodzimej polskiej, winien zapoznać się z dziełem prezesa Świętorzeckiego, któremu równego nasza fachowa literatura łowiecka nie widziała od czasu powstania Państwa Polskiego.

W. G.

Z PRASY ZAGRANICZNEJ.

„OESTERREICHS WEIDWERK".

Nr. 20/1935, str. 313. T. Walden *„O zrzucaniu parostków przez kozły"*. — Jako termin normalny zrzutu parostków uważany jest okres czasu pomiędzy końcem października a początkiem listopada. Każdy myśliwy wie jednak, że widzi się często kozły z parostkami w grudniu, a nawet w styczniu i odwrotnie — spotyka się kozły pozbawione rogów już we wrześniu. Z notatek literatury fachowej można daty krańcowe dla tego stanu określić dla kozłów zdrowych — od dn. 29 sierpnia do dn. 19 czerwca, jako oparte na faktach zanotowanych. Oczywiście,

przy takiej 9-miesięcznej rozpiętości okresu zrzutu, trudno jest przypisać przyczynę ich jakimś ogólnikowym warunkom zewnętrznym, w rodzaju wcześnie następujących mrozów, lub stawiać zasadę, że kozły stare zrzucają parostki wcześniej, a młode później. Obserwacje, prowadzone nad poszczególnemi okazami kozłów stwierdziły istotnie, że termin zrzucania rogów jest właściwością zupełnie indywidualną, której, nie sposób ująć w jakieś normy. Z dwojga kozłów - bliźniąt jeden, prawidłowy szóstak, zrzucał w ciągu 5 lat parostki regularnie pomiędzy 5 a 10 listopada, drugi zaś, chroniczny widłak, o 4 do 5 tygodni później. Oba kozły okazały się po odstrzeleniu zupełnie zdrowe i normalne. Natomiast nie podlega wątpliwości, że wszelkie uszkodzenia ciała kozłów wywierają silny wpływ zarówno na kształtowanie się poroża, jak i na jego zrzucanie. Powszechnie znanem jest zjawisko tworzenia się peruk na głowie kozła pod wpływem uszkodzenia jąder, ale równocześnie zaobserwowano, iż w przeciągu dwóch tygodni od ich uszkodzenia kozioł zrzucał parostki normalne. Odmiennie na czas zrzutu wpływa uszkodzenie kości kończyn: pod wpływem wysiłku organizmu na wytworzenie tkanek kostnych dla zrośnięcia uszkodzonej kończyny, następuje zahamowanie procesu dojrzewania rogów, zrzut których następuje przeto później, a w konsekwencji i nowe parostki zjawiają się z opóźnieniem. Sam proces zrzucania rogów jest skutkiem przekształcania się tkanki kostnej pomiędzy różą a osadą pnia (łodygi) drogą rozrostu komórek, powodującego zanik spoistości. Parostki odpadają najczęściej kolejno, najprzód róg lewy, potem prawy, albo odwrotnie, z różnicą kilkunastu minut, lub kilku dni. W pewnych wypadkach różnica dochodzi do kilku tygodni i wówczas odbija się to ujemnie na rozroście łodygi opóźnionej, co też uważać należy za główną przyczynę nieregularności poroża.

J. G.

KŁUSOWNICTWO.

(—zet.—) Niejaki Józef Zieliński, mieszkaniec Niszewa w okolicy Tczewa, przed rokiem nielegalnie upolował sarnę-kozę. Doniósł o tem do władz rybak Wincenty Januszewski, mieszkaniec Tczewa, za co Zieliński zapałał zemstą do dawnego przyjaciela, której ostatecznie dokonać zamierzył w ten sposób, że zaprosił Januszewskiego na poczęstunek, potem udał się z nim razem do mieszkania tego ostatniego przy ul. Sambora i tam rzucił się nań z nożem, zadając szereg ran ciętych w głowę.

Ostatecznie walka przeniosła się na ulicę, gdzie napastnika aresztowała policja, a poszwankowanego Januszewskiego przewiozła do szpitala.

*

(—zet.—) W dniu 26 ub. m. leśniczy państwowy p. Wincenty Młodzianowski spotkał w biały dzień w jednym z oddziałów leśnych leśnictwa Bogdanowo znanego kłusownika, Mikołaja Jachimowicza, mieszkańca wsi Rzeczki, gm. kurzenieckiej, który szedł z dubeltówką.

Na wezwanie leśniczego do zatrzymania się i złożenia broni Jachimowicz odpowiedział wymierzeniem ze strzelby do leśniczego, na co p. Młodzianowski w obronie własnej dał strzał z dubeltówki do kłusownika, którego ranił w udo i plecy.

Leśniczy zabrał rannego Jachimowicza do pobliskiej gajówki, gdzie udzielił mu pierwszej pomocy, następnie zaś skierował go do lekarza w Kurzeńcu.

*

(—zet—) W maj. W. Komora, pow. tucholskiego, leśniczy p. Bolesław Gierszewski podczas obchodu lasu znalazł sarnę, schwytaną we wnyk.

Ukrywszy się w pobliżu, leśniczy doczekał przybycia kłusowników po sarnę i w chwili, gdy zabierali się do zdjęcia zdobyczy z wnyka, zaskoczył ich, wzywając do zatrzymania się.

Kłusownicy rzucili się odrazu do ucieczki i zdołali zbiedz, mimo dalszych rozkazów do zatrzymania się i strzałów na postrach, danych przez leśniczego. Przedtem jednak zostali rozpoznani; okazali się mieszkańcami wsi Kiełpin, dobrze leśniczemu znanymi.

*

(—zet.—) Posterunkowy Jan Polek z posterunku p. p. w Zawidzu, pow. sierpeckiego, spostrzegł w lesie znanego sobie kłusownika, Henryka Jaworskiego, mieszkańca wsi Jaworowo.

Gdy posterunkowy zbliżył się do Jaworskiego, aby odebrać mu posiadaną broń, trzymając sam w pogotowiu wymierzony w kłusownika rewolwer, ten podbił mu go łożem od swej dubeltówki. W tym momencie rewolwer wypalił, a kula ugodziła policjanta w pachwinę.

Mimo bolesnej rany i silnego krwawienia, Polek wszczął pościg za uciekającym, który jeszcze dwukrotnie strzelał do posterunkowego z dubeltówki, lecz strzały te chybiły.

Wkońcu policjantowi udało się Jaworskiego dopędzić i aresztowanego odprowadzić na posterunek, skąd został przekazany do dyspozycji władz.

*

(—zet.—) W dniu 27 ub. m. posterunkowy p. p. w Bełchatowie zatrzymał kłusownika Franciszka Kosakowskiego, mieszkańca wsi Dobrecin, gm. Bełchatówek.

Kosakowskiemu odebrano pojedynkę kal. 16 własnej konstrukcji i zestawiono odpowiedni protokół.

*

(—zet.—) Posterunkowy p. p. pow. piotrkowskiego podczas patrolowania okolicy natknął się na polach wsi Zabiłów, gm Wadlew na dwóch kłusowników, z których jeden wymierzył do policjanta ze strzelby.

Posterunkowy w obronie własnej użył broni, przyczem postrzelił jednego z kłusowników. Zaraz potem kłusownicy rzucili się do ucieczki, lecz rannego policjant łatwo zdołał ująć — drugi narazie zbiegł.

Ujętym okazał się Józef Wdowiak, mieszkaniec wsi Podstolin, gm. Wadlew. Został osadzony w areszcie i przekazany do dyspozycji władz sądowych.

*

(—zet—) W majątku Jarantów, powiatu kaliskiego, rządca

W łączności z nadchodzącym następnym rokiem wydawniczym naszego pisma, zwracamy się z gorącym apelem do naszych dotychczasowych Szanownych Prenumeratorów

o jednanie dla „Łowca Polskiego" nowych, stałych jego czytelników.

Niech każdy w ten sposób wbuduje choć jedną cegiełkę, przyczyniając się do dalszego wzmocnienia gmachu polskiego piśmiennictwa łowieckiego, oddanego na usługi wszystkich zainteresowań naszych myśliwych i pracującego dla rozwoju rodzimego łowiectwa.

Niezależnie od tego prosimy usilnie o możliwie śpieszne, punktualne odnawianie prenumeraty na najbliższy okres czasu: rok, półrocze, kwartał, lub miesiąc następny.

Załączamy po trzy czeki przekazowe P. K. O.

p. Józef Bretis spostrzegł podczas objazdu pól osobnika, unoszącego zabitą sarnę, który na widok jeźdźca począł uciekać. P. Bretis rozpoczął pościg, podczas którego kłusownik zatrzymał się na chwilę i strzelił do swego prześladowcy. Strzał był celny, a jakkolwiek trafił p. Bretisa tylko w nogę, ranny spadł z konia. Za kłusownikiem wdrożono poszukiwania, oparte na rysopisie, podanym przez p. Bretisa. Szczęśliwie, postrzał nie jest zbyt ciężki i p. Bretis pozostaje na kuracji w domu.

*

(—zet—) Przed sądem grodzkim w Pszczynie stanęła niedawno szajka kłusowników z Konradem Czernikiem i Augustem Latuskiem na czele, mieszkańcami powiatu pszczyńskiego. Na rozprawie stwierdzono na podstawie zeznań służby leśnej, że oskarżeni grasowali od dłuższego czasu w okolicznych lasach, urządzając niejednokrotnie większe obławy. Podczas jednej z nich zdołano zatrzymać jednego uczestnika, późniejsze zaś śledztwo doprowadziło do ujawnienia nazwisk pozostałych kłusowników. Pośród świadków przesłuchiwany był również dawny kłusownik i herszt podobnej szajki, Kostyra, którego sprowadzono na rozprawę z więzienia, gdzie odsiaduje dłuższą karę. Kostyra w zeznaniach swych poważnie obciążył oskarżonych, a dawnych swych współkamratów, wskutek czego dochodziło nawet pomiędzy nimi i świadkiem do ostrej wymiany zdań na sali rozpraw. W rezultacie sąd skazał Latuska i Czernika na 3 miesiące aresztu każdego, pozostałych zaś uniewinnił z powodu braku dowodów.

Śmierć pod rogami jelenia.

(—zet—) Niedawno miał miejsce tragicznie zakończony, a nader niezwykły wypadek zaszarżowania jelenia na ludzi.

Powyższy fakt zdarzył się podczas polowania na zające w nadleśnictwie Wielowieś pow. ostrowskiego (Wielkopolska).

W jednem z pędzeń ruszony z zarośli jeleń nie poszedł w kierunku linji myśliwych, lecz rzucił się odrazu na naganiaczy. Tu dopadł Romana Bogaja z Raduchowa, którego pierwszem natarciem przewrócił, potem zaś leżącego i usiłującego podnieść się uderzał kilkakrotnie rogami.

Zanim zorjentowano się w sytuacji i byka odstraszono, czy wreszcie sam miał jeleń dość znęcania się nad ofiarą, zdołał on przedtem zadać napadniętemu szereg tak nieszczęśliwie ulokowanych razów, że Bogaj, mimo natychmiastowej pomocy lekarskiej, zmarł.

KRONIKA MYŚLIWSKA.

Podaję wyniki kilku polowań, odbytych ostatnio w tutejszej okolicy. Wyniki te świadczą o dobrych rezultatach poczynań hodowlanych naszych myśliwych - hodowców, popartych przez działalność Wojewódzkiej Rady Łow. w Białymstoku, a właściwie jej Oddziałów Powiatowych, specjalnie w kierunku ograniczenia wydawania kart łowieckich i zwalczania kłusownictwa.

— W dniu 16 listopada b. r. odbyło się polowanie w maj. Grodzisk (pow. Ostrołęka) p. Jerzego Andlauera. W 12 strzelb ubito 241 zajęcy i 25 kuropatw.

— W dniu 23 listopada polowano w 12 strzelb w maj. Korzeniste (pow. Łomża), własność S-ki z o. o. „Korzeniste". Padło 123 zające, 50 kuropatw, 8 bażantów i 1 lis. W roku ubiegłym na tym samym terenie zabito 102 zające, 66 kuropatw i 1 lisa; w roku 1933 — 75 zajęcy i także jednego lisa.

— W dniu 25 listopada w maj. Zaskrodzie (pow. Łomża) p. Marjana Lasockiego 12 myśliwych upolowało 230 zajęcy, 2 lisy, 3 bażanty i 72 kuropatwy. W Zaskrodziu odbywają się polowania co dwa lata. W roku 1933 zabito tam 176 zajęcy i 27 kuropatw.

Stan kuropatw w Korzenistem i Zaskrodziu okazał się bardzo dobry i tylko silny wiatr przyczynił się do stosunkowo niewielkiej ich ilości na rozkładzie.

Na wszystkich trzech powyższych polowaniach, stosownie do przyjętej u nas ostatnio zasady, nie ogłaszano „królów polowań", kontentując się jedynie podaniem do wiadomości ogólnego rozkładu przez gospodarza. Inowacja ta w niczem nie przeszkodziła jak najlepszemu nastrojowi zebranych.

Inż. K. KOMIEROWSKI.

Dorocznym zwyczajem Kaliskie Garnizonowe Koło Łowieckie w dzień patrona św. Huberta urządziło w dniu 4 ub. m. polowanie reprezentacyjne, na które z zaproszonych gości przybyli z Warszawy p. gen. dyw. Orlicz-Dreszer, z oficerem sztabu mjr. dypl. Lotem oraz podinspektor Brożyński z Łodzi. Polowano na terenie placu ćwiczeń Kościelna-Wieś obszaru około 1200 mrg. Przy pięknej pogodzie i sprężyście prowadzonem polowaniu przez łowczego Towarzystwa p. mjr. L. Wilczyńskiego, w 18 strzelb ubito w kilku miotach, resztę bowiem terenu pozostawiono na następne polowanie: 189 zajęcy, 22 kuropatwy, 50 bażantów i 3 króliki.

Zaznaczyć wypada, że Garnizonowe Koło Łowieckie posiada na swych terenach b. dobry zwierzostan, co zawdzięczać należy troskliwej opiece, roztoczonej nad zwierzyną łowną i racjonalnej jej hodowli. Gdyby wszystkie towarzystwa myśliwskie zechciały iść za przykładem Garnizonowego Koła Łowieckiego, stan zwierzyny w naszym powiecie podniósłby się niebawem do właściwego poziomu.

— Dnia 21.XI.1935 odbyło się polowanie w Maluszynie u Stanisława hr. Potockiego (pow. Radomsko), na którem ubito w dwóch ławach leśno - polnych: 1 lisa, 3 słonki, 360 bażantów, 580 zajęcy, 81 kuropatw i 13 królików. Razem sztuk 1040. W polowaniu brali udział: Adam hr. Potocki, p. min. Jan Ciechanowski, p. Tadeusz Halpert, Władysław hr. Tarnowski, p. Konrad Niemojewski, Paweł hr. Potocki, p. Hieronim Siemieński, Zygmunt hr. Wielopolski, p. Janusz Zdziechowski.

— W Sekursku, pow. Radomsko, p. Jana Biedrzyckiego polowano dnia 11.XI.35 r.; ubito sztuk 988, w czem: 10 słonek, 3 cietrzewie, 370 bażantów, 490 zajęcy, 54 kuropatwy, 61 królików. W polowaniu brali udział: Henryk hr. Potocki, p. Aleksander Steinhagen, Stanisław hr. Potocki, p. Tomasz Karski, Paweł hr. Potocki, p. Michał Ostrowski, Benedykt hr. Tyszkiewicz, p. Konrad Niemojewski, p. Hieronim Siemieński.

— Dnia 2 września 1935 r., w majątku Prusicko, Róży ks. Lubomirskiej, odbyło się w 6 strzelb polowanie, na którem ubito 442 szt. (429 królików, 6 kuropatw, 5 bażantów i 2 koty). Najwięcej zabił Stanisław hr. Ostroróg-Gorzeński, mając na rozkładzie 100 szt.

— W majątku Kruszyna, Stefana ks. Lubomirskiego, odbyły się następujące polowania: dn. 3 września 1935 r. ubito 163 szt.: — 156 kuropatw, 2 bażanty, 2 przepiórki i 3 gołębie; dn. 15 listopada: 140 szt. — 46 zajęcy, 84 króliki, 9 bażantów, 1 cietrzewia; dn. 16 listopada: 120 szt. — 24 zające, 83 króliki, 13 kuropatw. We wrześniu bażanty były strzelane na terenie bażantarni.

— Na dwudniowem polowaniu u p. Witolda Karczewskiego dn. 13.XI w Ponętowie przy udziale 12 myśliwych i 14.XI w Czamaninie — 14 myśliwych, ubito 980 szt., w tem: zajęcy 752, kuropatw 182, bażantów 43, królików 3.

Najwięcej na rozkładzie miał Antoni hr. Dunin — 135 szt., w tem zajęcy 96, kuropatw 35, bażantów 4. Polowanie było świetnie prowadzone przez gospodarza. Stan zajęcy dobry; kuropatw znakomity; bażanty były zaprowadzone dopiero w roku zeszłym.

— Dnia 21 listopada r. b. odbyło się w Karminie u pp. Edwardostwa Morawskich polowanie przy udziale 10 myśliwych. Ogółem ubito 608 sztuk, a mianowicie 413 zajęcy, 100 królików, 36 bażantów, 56 kuropatw, 1 słonkę i 2 różne.

TREŚĆ NUMERU:

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. **Wydawca:** Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 7.50; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. — Miesięcznie 2.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł
Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł
Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.
Drobne ogłoszenia — po 10 gr. za wyraz; grubemi literami — po 20 gr. za wyraz; mniejsze ogł. — 1 zł
Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 3-ą i 4-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich tel. 6 66-15

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. **TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 607-98.** **KONTO P. K. O. 8082.**

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15